



ROZWIŃ
SKRZYDŁA
WYOBRAŹNI

Antologia

FANTASTYCZNIE O JELENIEJ GÓRZE

Antologia

**FANTASTYCZNIE
O JELENIEJ GÓRZE**



Jelenia Góra 2025

Antologia „Fantastycznie o Jeleniej Górze”

Opracowanie tekstu, korekta i komentarze: **M.K. Czerniecka**

Łamanie i skład: **Wydawnictwo AD REM**, www.adrem.jgora.pl

Zdjęcie na okładce: **M.K. Czerniecka**

Wydruk książki sfinansowany przez Miasto Jelenia Góra.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie. Wszelkie materiały (teksty, zdjęcia itp.) są objęte prawem autorskim i podlegają ochronie na mocy „Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych” z dnia 4 lutego 1994 r. (Dz.U.2021.1062). Kopiowanie, przetwarzanie, rozpowszechnianie tych materiałów w całości lub w części, bez zgody ich autorów, jest zabronione.

KONKURS LITERACKI

FANTASTYCZNIE O JELENIJ GÓRZE

W I kategorii wiekowej 13-16 lat nagrodę otrzymali:

I miejsce

„O przygodzie pewnego Hicery” – Maja Faściszewska

II miejsce

„Kwadrant Jeźdźców Jeleni” – Hanna Kijowska

III miejsce

„Pac-man” [tytuł nadany przez Jury] – Milena Cielica

W II kategorii wiekowej 17-25 lat nagrodę otrzymał:



I miejsce

„Tajemnica Wzgórza Krzywoustego” – Maksym Jasiński
- uznane również za opowiadanie najciekawiej nawiązujące do Jeleniej Góry

Jury przyznało trzy wyróżnienia w kategoriach:

Opowiadanie najoryginalniejsze:

„Transfinezja” – Joanna Rapkiewicz



Opowiadanie, które mocno nas poruszyło:

„Krwawy płacz Ducha Gór” – Liliana Sadza

Opowiadanie, które skradło nasze serce:

„Tajemnica Magicznego Jaru” – Mikołaj Sompoliński





Nto przed Wami zbiór wybranych (w tym i nagrodzonych) opowiadań z pierwszej edycji organizowanego przez Książnicę Karkonoską konkursu „Fantastycznie o książkach”. Mam nadzieję, że ta różnorodna podróż w młodociane fantazje o naszym Mieście przypadnie Wam do gustu. W tym zbiorze każdy znajdzie coś dla siebie, może nawet niektóre fragmenty będą nosiły posmak Waszych własnych, nastoletnich wyobrażeń. W końcu tak miło wymyślać niestworzone historie, gdy po raz wtóry wraca się do domu tą samą drogą.

Antologia „Fantastycznie o Jeleniej Górze” to fantazyjny zbiór dla młodzieży i dorosłych, podróż w znane i nieznane, w baśniowe oraz futurystyczne. Przygotujcie się na sporo magii, alternatywne rzeczywistości, gadające jelenie, baśniowe krainy, poszukiwania zaginionych artefaktów, transfinezyczne konflikty, wojny i akty pokojowe, spotkanie z lokalną wersją wiedźmina oraz wiele, wiele więcej.

M.K. Czerniecka



TAJEMNICA MAGICZNEGO JARU

Mikołaj Sompoliński 11

O PRZYGODZIE PEWNEGO HICERY

Maja Faściszewska 19

PO DRUGIEJ STRONIE

Godło: K1C1N0B3J7 27

KSIĘŻNICZKA ARABELLA, JELENIOGÓRSKA STRAŻNICZKA ZWIERZĄT

Godło: KORONA 37

TAJEMNICA WZGÓRZA KRZYWOUSTEGO

Maksym Jasiński 41

PAC-MAN

Milena Cielica 53

FANTASTYCZNIE O JELENIEJ GÓRZE, CZYLI MOJA MAGICZNA PRZYGODA

Godło: JFKEWR777 63

KWADRANT JEŹDŹCÓW JELENI

Hanna Kijowska 71

TRANSFINEZJA

Joanna Rapkiewicz 89

KRWAWY PŁACZ DUCHA GÓR

Liliana Sadza 101



Antologię zdecydowałam się rozpocząć opowiadaniem wyróżnionym w kategorii „Opowiadanie, które chwyta za serce”. Jego pierwsze zdania są tak poruszające, a zarazem zagadkowe, że trudno oprzeć się pokusie prześledzenia, co było dalej.

Baśniowy, plastyczny i pobudzający wyobraźnię tekst, pełen niewinności i młodzieńczego heroizmu – tego czystego, nieskażonego jeszcze ambicją zaszczytów, władzy czy pieniędzy. Bohater walczy z lojalności, z poczucia, że tak trzeba i jest to prostolinijnie piękne.

Obraz płatków śniegu na policzku wciąż mi towarzyszy i myślę, że długo nie zapomnę tego opowiadania.



TAJEMNICA MAGICZNEGO JARU

Mikołaj Sompoliński

Kiedy zobaczysz, że płatek śniegu, który spadł na moją twarz, nie topnieje, obiecaj mi, że będziesz silny. Pójdiesz dalej przed siebie. Nawet jeśli twoje oczy przysłonią łzy, nie wstydz się ich. One wcale nie są oznaką słabości. Wbrew temu co mówią ludzie, łzy oznaczają wewnętrzne piękno, wrażliwość i... siłę. A ty musisz być silny, żeby uratować swoje miasto.

Em wciąż nosi w sercu te słowa. Myślicie, że świat baśni istnieje tylko w książkach? A zaczarowany las, wiszące rzeki i wodospady, w których woda wbrew prawom fizyki płynie z dołu do góry, to tylko wybijała fantazja autorów? Em myślał kiedyś tak samo, ale wydarzyło się coś, czego nie można tak po prostu objąć rozumem. Coś co bardzo trudno opisać słowami. Coś co zmieniło jego życie na zawsze.

Było marcowe popołudnie. Em pędził ile sił w nogach do cukierni, po swoje ulubione pączki. Najlepsze pączki w Jeleniej Górze, a właściwie to chyba na całym świecie! W myślach już czuł ich wspaniałe zapach i smak.

Kiedy chłopiec przechodził przez miejski rynek, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Niby nic wielkiego. Sekunda czy nawet najmniejszy jej ułamek, który zmienił wszystko.

Niebo nagle pociemniało. Chmury wyciągnęły swoje długie ręce i zwyczajnie, tak po prostu porwały gdzieś słońce. Towarzyszył im wiatr. Wyteżył pyzatą buzię i dmuchnął tak mocno, że czerwony tramwaj, stojący przy wejściu do ratusza, ruszył z miejsca.



Em nawet nie miał czasu, żeby próbować zrozumieć, co się działo. Jakaś nadprzyrodzona siła wciągnęła go do środka zabytkowego pojazdu. Cały świat zawirował, skąpany w płatkach śniegu. Wiatr kontynuował swoje dzieło, śmiejąc się tak głośno, że barokowe kamieniczki pochylały się na boki.

W pewnej chwili rozległ się potężny huk, połączony ze świstem. Chodnikowe płyty pękły, a spod nich zaczęła wydobywać się złota para. Nie była wcale gorąca, ale miała nadprzyrodzoną moc, która uniosła tramwaj wysoko do góry.

Wtedy wszystko ucichło. A tramwaj zamienił się nagle w ogromnego ptaka z długą szyją.

Pierzasty olbrzym przedzierał się sprytnie pomiędzy chmurami. Em próbował coś powiedzieć, ale wiatr skutecznie zamykał mu usta.

– Nic nie mów. Trzymaj się mnie mocno i nie puszczaj! – usłyszał nagle stanowczy głos.

Wtedy Em spojrzał przed siebie. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Mknął na grzbiecie gigantycznego ptaka, trzymając się... Podróżniczka! Jeleniogórski jelonek był bardzo skupiony i opanowany. Em chciał zadać mu tyle pytań, które kłębiły się w jego głowie, ale wciąż nie mógł się odezwać.

– Uważaj! – ostrzegł Podróżniczek. – Za chwilę „coś” pociągnie nas w dół, ale nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Em zamknął oczy. W myślach powtarzał sobie ostatnie słowa Podróżniczka. Naraz chłopiec ocknął się na leśnej polanie. Widok był wspaniały! Nawet najdroższe wyspy świata nie mogły się z nim równać!

Wokół cudowne kwiaty, a na nich kolorowe motyle. Drzewa, chociaż stare, ciągle soczyście zielone. Wśród nich ptaki, które śpiewają tak pięknie, że można się rozmarzyć. A tam coś jeszcze... Szmaragdowa rzeka, która wisi w powietrzu! W oddali, wśród mgły, wodospad, w którym woda płynie z dołu do góry.

– Nie, to jest niemożliwe... – wyszeptał Em.

Nagle powiał lekki wiatr, jakby morska bryza. Jedno ze starych drzew zadrżało. Chłopiec podbiegł do niego zaciekawiony. Zauważył w pniu tajemnicze drzwi, takie jakie można znaleźć w zamkowych komnatach. Otworzyły się znienacka.



– Ojej! – krzyknął przerażony Em.

– Cześć! – powiedziała spokojnym i znajomym głosem rogata postać, wyskakując z drzewa. – Nic niemów, nie zadawaj pytań, tylko posłuchaj. Wiem, że to wszystko wydaje ci się bardzo dziwne, a może nawet nienormalne. Proszę cię jednak, uwierz w to! Musisz nam pomóc. Zostałeś wybrany, więc nie bój się i zaufaj mi.

– Ale... – Em chciał zadać tyle pytań, był przerażony i kompletnie zdezorientowany.

– Tak, wiem. Jak można zaufać mówiącej rzeźbie...? – zaśmiało się zwierzątko. – Jestem Podróżniczek, ale to pewnie już wiesz. Jak widzisz, mówię, chodzę, czuję zupełnie tak jak ludzie i czasem, kiedy jest to potrzebne, mam do wykonania ważne misje. Ta jest najważniejsza w moim życiu. Interesujesz się historią, prawda?

– Bardzo! A skąd...?

– Skąd to wiem? Może kiedyś zdradzę ci ten sekret. Teraz jednak posłuchaj uważnie. Jesteś tutaj, aby pomóc nam ocalić naszego Praprzodka. Ratując go, uratujesz również swoje miasto.

– Nic nie rozumiem. Kto to jest ten Praprzodek?

– Pewnie znasz legendę o powstaniu Jeleniej Góry. Nie wiesz jednak wszystkiego, bo nikt, poza kilkoma postaciami, które żyją w Magicznym Jarze, tego nie wie.

– W Magicznym Jarze? – zdziwił się Em.

– Miejsce, do którego cię zabrałem, to właśnie Magiczny Jar. Kiedy książę Bolesław Krzywousty zobaczył pięknego jelenia, jego koń jak zahipnotyzowany podążył za majestatycznym zwierzęciem. Dotarł właśnie tutaj, do Magicznego Jaru. Księżcia Bolesława oczarowały nie tylko te wspaniałe krajobrazy. Oczarowała go niezwykłość tego miejsca. Spokój, harmonia i cisza. Oczarowało go Królestwo Praprzodka.

– Królestwo Praprzodka?

– Spójrz – powiedział szeptem Podróżniczek i ze swojej torby wyjął małe zawiniątko. Było to błękitne szkielek, oprawione w piękną, złotą ramkę. Wyglądało jak lustro.



– Oooo... – westchnął Em, kiedy w nie spojrział. Zobaczył tam rzecz niezwykłą. Księcia siedzącego na pięknym koniu, który uśmiechając się, wyciąga dłoń do pięknego jelenia. W pewnej chwili na szkle pojawiły się dwie rysy i wypłynęły z nich łzy. Chłopiec otarł je szybko drżącą ręką. Usłyszał przejmujący jęk.

Em chciał dalej oglądać ten wspaniały „film”. Niestety, nic już z niego nie pozostało.

– Widzisz, przyjacielu, ten jelen, którego znasz z legend i z historii, to właśnie Praprzodek. Jest nie tylko symbolem Jeleniej Góry, ale też jej talizmanem. On ciągle żyje tutaj, w Magicznym Jarze. Czuwa nad twoim miastem. Jest nieśmiertelny, ale ktoś wie, jak zrobić mu ogromną krzywdę. To Meara. Jeśli Praprzodek zginie, Jelenia Góra będzie w niebezpieczeństwie.

– W jaki sposób mogę pomóc? Nie jestem siłaczem, nie umiem się bić. Jestem słaby...

– Tu nie chodzi o siłę fizyczną. Chodzi o coś ważniejszego. Niebawem przekonasz się, jaki rodzaj siły, w sobie nosisz.

Rozmawiali tak jeszcze przez bardzo długi czas. W pewnej chwili Podróżniczek zaczął kopać małą łopatką, odrywając kolejne warstwy mchu. W końcu wyciągnął złote pudełeczko.

– To nasz skarbiec, a to nasz najcenniejszy przedmiot. Kamień, który wypadł z pierścienia księcia Bolesława. Teraz będzie strzegł ciebie.

– Piękny! – wykrzyknął zachwycony Em. Uniósł do góry rubinowy klejnot. Promienie słońca zatańczyły w nim, tworząc czerwone refleksy.

– Schowaj go do tego woreczka i pilnuj. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, będziesz wiedział, co z nim zrobić.

– Ale skąd? Kto mi podpowie i pomoże?

– Twoje serce.

Podróżniczek i Em wyruszyli w daleką drogę. Stąpali po mięciutkim mchu. Nad nimi przelatywały kolorowe ptaki i motyle, a w powietrzu unosił się cudowny zapach. Za drzewami chowały się małe jelonki. Niektóre z nich miały twarze skrzatów i śmieszne, niebieskie ogonki. Kiedy dotarli do Szmaragdowego Wodospadu, Podróżniczek zatrzymał się, by zaczerpnąć odrobinę wody. Ta sprawiła, że jego pysz-



czek zamienił się w twarz człowieka. Tyle się ostatnio wydarzyło, że Em nie był nawet tym faktem zdziwiony. Chłopiec pochylił głowę, aby napić się wody.

Wtedy rozległ się przeraźliwy huk.

Nad wodospadem zawisła ciemna, złowieszcza chmura. Wysypała z siebie morze śniegowych płatków. Nagle jeden z nich zamienił się w ostrą włócznię, celując prosto w Podróżniczkę. Rażony nią jelonek upadł.

– Podróżniczku! Podróżniczku! Odezwij się, proszę – krzyczał przerażony Em.

– Zostań przy mnie... – odezwał się słabym głosem jelonek. – Zostań tylko na chwilę, a kiedy zobaczysz, że płatek śniegu, który spadł na moją twarz, nie topnieje, obiecaj mi, że będziesz silny. Pójdziesz dalej przed siebie. Nawet jeśli twoje oczy przysłonią łzy, nie wstydz się ich. One wcale nie są oznaką słabości. Wbrew temu co mówią ludzie, łzy oznaczają wewnętrzne piękno, wrażliwość i... siłę. A ty musisz być silny, żeby uratować swoje miasto.

Nadszedł czas, że taki płatek spadł. Najpierw jeden, za nim drugi, trzeci...

Em płakał i szedł przed siebie. W kieszeni kurtki ścisnął drogi kamień. Choć został sam, czuł, że ktoś jest razem z nim. W pewnej chwili zatrzymał się. Wiedział, że dotarł na miejsce.

Rozejrzał się uważnie. Zrobił ostrożnie krok przed siebie i nagle znalazł się na tarasie altanki stojącej pośrodku pływającego ogrodu. Nie czuł już strachu. Wszedł do środka.

– A więc jednak udało ci się! Dotarłeś! – krzyknął donośny głos.

– Meara? Nie boję się ciebie! Gdzie jest Praprzodek? Uwolnij go! Uwolnij go natychmiast!

– Nigdy! Pozbędę się go i przejmę dar nieśmiertelności. Wtedy zdobędę władzę nad twoim miastem. Wyrządzą wiele zła, ale ty już tego nie zobaczysz! – krzyknęła postać.

Meara była bardzo wysoka. Miała długie, siwe włosy, które ciągnęła za sobą. Em nie mógł dostrzec jej twarzy. Może jej nie miała?

– Maho-ara, Maho-ara! – zaczęła wykrzykiwać postać.



Wtedy oczom chłopca ukazał się Praprzodek. Spojrzał na niego pięknymi, ale smutnymi oczami i zaczął osuwać się na ziemię. Meara krzyczała przeraźliwie, powtarzając zakłęcie.

Em wyciągnął z kieszeni klejnot księcia Bolesława. Serce podpowiadało mu, co powinien zrobić. Dla Jeleniej Góry i wszystkich jej mieszkańców. Dla Podróżniczka...

Chłopiec skierował kamień prosto w kierunku złowrogiej Meary. Jakaś nadprzyrodzona siła sprawiła, że altana wypełniła się złotą wodą. Em zdążył tylko zauważyć, jak rzeka długich, siwych włosów zostaje porwana i ciągnie się po niebie, by zginąć za horyzontem. Wtedy ogarnął go spokój. Spojrzał przed siebie. Dostrzegł go w oddali.

Piękny jeleń wśród zielonych traw i kwitnących kwiatów. Praprzodek. Cały i zdrowy.

„Udało się... Zrobiłeś to... Ocaliłeś Praprzodka... Ocaliłeś swoje miasto...”

– Podróżniczku, to ty? – pytał Em, mając nadzieję, że usłyszy odpowiedź przyjaciela. Niestety, nikt się nie odezwał, ale w sercu chłopiec poczuł nagłą radość.

Marcowe popołudnie powoli zamieniało się w wieczór. Em, biegnąc do cukierni, przystanął na chwilę. Gorączkowo szukał czegoś w kieszeniach, ale oprócz portfela, telefonu i chusteczek, niczego więcej tam nie było. Chłopiec nie wybrał najkrótszej drogi, mimo to cukiernia była już bardzo blisko. Skręcił w boczną uliczkę. Po kilkunastu minutach, był już na dworcu kolejowym. Odnalazł go i poczuł wielką ulgę. Podróżniczek stał na swoim miejscu.

– Cieszę się, że tu jesteś, przyjacielu – pochylił się i szepnął do figurki. Przez chwilę patrzył w nieruchome oczy jelonka.

Em odwrócił się i chowając rękę do kieszeni kurtki, odnalazł w niej małą karteczkę. Było na niej napisane: „Dziękuję, że wtedy poszedłeś dalej przed siebie. A teraz biegnij do cukierni, za pół godziny zamykają”.



Poznaj autora...

Oto ja – Mikołaj. W listopadzie skończę czternaście lat. Uczęszczam do 7 klasy SP3 w Jeleniej Górze. Głowę zaprzęta mi historia. Lubię przeglądać stare mapy i czytać teksty historyczne. Przenoszę się wtedy w inne epoki. W wolnych chwilach próbuję tworzyć komiksy historyczne.





„O przygodzie pewnego Hicery” to zwycięskie opowiadanie w I kategorii wiekowej. Jest dynamiczne, a akcja płynie wartko, nie zabrakło w nim miejsca na z lekka ironiczny humor. Osadzenie realiów fabuły w Jeleniej Górze i okolicach dało bardzo interesujący efekt, jako że główny bohater jest najemnikiem od zadań specjalnych rodem z amerykańskiego thrillera, a uwielbia pić kawę na ganku i nazywa się Bartłomiej.

Tekst jest tak przesycony wiedźmińskim duchem, że „Endrygi” łatwo było pomylić z „endriagami”. Hicerzy to jednak nie wiedźmini i mają swoje sposoby na potwory (a gdy tych brakuje, udają się po zakazane książki do Książnicy Karkonoskiej). Pozostaje tylko jeden mały smutek – „Dlaczego klacz nie nazywa się Płotka?”.



O PRZYGODZIE PEWNEGO HICERY

Maja Faściszewska

Dzień jak co dzień. Siedziałem na ganku swojej chaty, popijając aromatyczną kawę. Nagle zobaczyłem pędzącego w moją stronę białego wierzchowca, a na nim gońca. Byłem pewien, że to do mnie. Dookoła nie było żadnych innych domów, a mieszkalem dość daleko od miast i wsi, przy samym brzegu lasu.

Goniec zatrzymał się tuż przed gankiem.

– Mam dla was ważną wiadomość – rzucił młody chłopak bez niepotrzebnej etykiety. Podał mi zapieczętowany list. Od razu poznałem, że był od jeleniogórskiego prezydenta. W tym mieście często zdarzały się zamieszki, do których wzywany był stacjonujący w tym miejscu Hicer.

Odpowiadając na pytanie, które zapewne kotłuje się w waszych głowach: Hicerzy to w pewnym sensie elitarna jednostka wojskowa, do której i ja należałem. Wykonywaliśmy wszystkie niebezpieczne i nieprzyjemne zadania związane ze sprawami, których normalni ludzie albo nie chcieli, albo się bali, albo po prostu nie byli w stanie wykonać. Wiedziałem, że obecnie jest nas w państwie około czterystu.

Gdy tylko wziąłem list do ręki, goniec od razu wskoczył na konia i odjechał.

Rozłamałem pieczęć. Pismo było niechlujne, jakby ktoś pisał list w wielkim pośpiechu. To naprawdę musiało być coś ważnego, bo sekretarz Maciej nigdy dotąd tak nie bazgrolił. Kiedy czytałem, brwi uniosły mi się z wrażenia.

– Nieprawdopodobne – mruknąłem pod nosem.



Według opisu świadków, ludzi na ulicach miały atakować stworzenia przypominające trochę pająki, a trochę skorpiony. Były mniej więcej wielkości drobnego kuca. Miały syczeć i unieruchamiać ofiary jadem z kolca, po czym zabierać je ze sobą Bóg wie gdzie. Żaden człowiek, który odważył się pójść za jednym ze stworzeń, nie wrócił.

W dalszej części listu prosili mnie o rozprawienie się z tymi dziwnymi stworami i to w trybie natychmiastowym. Według doniesień widziano dotąd trzy okazy. Ja przeczuwałem, że w rzeczywistości było ich więcej. Opis pasował mi do Wojowników, które zwykle mieszkają w pustynnych częściach Afryki, na ogół pod ziemią, choć nie jest to regułą. Łączą się w małe grupy, którymi dowodzi Endryga, czyli największa i najsilniejsza z Wojowników, która rzadko wychodzi z gniazda.

To może być ciekawe zlecenie.

Moja gniada klacz pasła się niedaleko ganku. Zagwizdałem na nią, a ona przybiegła zaraz, rżąc i potrząsając łbem. Czym prędzej osiodłałem ją, po czym usadowiłem się na końskim grzbiecie i bez zwłoki ruszyłem w stronę Jeleniej Góry. Na gościńcu było prawie pusto, droga nie zajęła mi wiele czasu.

Kiedy byłem już na miejscu, skierowałem się od razu w stronę Ratusza.

Po zapowiedzi wszedłem do gabinetu prezydenta, który wytłumaczył mi dokładniej, co się działo i wskazał mi kierunek, w którym stwory umykały wraz ze swoimi ofiarami.

Pół godziny później znów siedziałem na koniu i podążałem w kierunku wskazanym przez prezydenta. Zatrzymywałem się we wspomnianych w liście miejscach porwań i szukałem na ziemi choćby najmniejszych śladów po potworach, lecz na próżno. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że za porwaniami stoją Wojownicy, gdyż te stworzenia po atakach zawsze zacierają za sobą ślady. Próbują chronić gniazdo. Lecz zmysł powonienia jest u nich mocno przytępiony, stąd nie dbają o zapach, jaki zostawiają. A nie pachną kwiatkami, to trzeba przyznać.



Nagle usłyszałem krzyki ludzi. Dochodziły z ulicy Mickiewicza. Złapałem moją klaczkę za uzdę i pogoniłem ją, w biegu wsiadając na siodło. Gdy znalazłem się blisko źródła zamieszania, zobaczyłem przerażoną, tulącą się do siebie grupkę ludzi. Nieopodal po ziemi czołgał się mężczyzna, w którego plecy Wojownik właśnie wbijał swój ogonowy kolec. Był wielki i paskudny z gęby. Wojownik, nie mężczyzna.

Ofiara prawie od razu przestała się ruszać. Chwilę później Wojownik zaczął ciągnąć gdzieś ciało, tylnymi odnóżami zacierając za sobą ślad. Prawdopodobnie szedł do swojego gniazda. Postanowiłem więc ostrożnie podążać za nim. To była dobra decyzja.

Zaraz za miastem, na gościńcu prowadzącym do Karpacza, obserwowany przeze mnie Wojownik nagle skręcił. Kawalek dalej, za górką, dostrzegłem gniazdo zbudowane z patyków, błota, ziemi i wszystkiego innego, co Endryga była w stanie odnaleźć w okolicy i wykorzystać do wyomoczenia oraz osłony legowiska.

Siedziała w nim i ona. Endryga – Wojownik w pełnej okazałości. W swojej karierze Hicera, nigdy jeszcze nie widziałem żadnej matki. I oto jest. Wielka jak powóz konny, z dwoma ogonami zakończonymi śmiercionośnymi kolecami, ośmioma odnóżami i parą szczypiec, którą zwykły Wojownik nie mógł się pochwalić. W gnieździe naliczyłem cztery okazy. Trzy małe i Endrygę.

Nie miałem, jak uratować porwanego mężczyzny. Heroiczny zryw byłby samobójstwem. Do tego te prawne obostrzenia... Nie wiedziałem, jak skutecznie walczyć z tymi potworami albo w ogóle co z nimi począć. Ale mogłem zapobiec przyszłym ofiarom.

Powoli wycofałem się na gościniec. Myślałem przez chwilę, po czym stwierdziłem, że nie ma innej rady. Muszę udać się do mojego mistrza. Na szczęście staruszek Benedykt nie mieszkał daleko, bo w Szklarskiej Porębie. Od lat nie był już na służbie, jedynie szkolił kandydatów na następców starszego pokolenia.

Droga do starego mistrza zajęła mi niespełna jeden dzień. Gdy stanąłem na ganku, drzwi się otworzyły. Nawet nie zdążyłem zapukać.

– Och, Bartłomiej, jak dobrze cię widzieć! Wejść do środka. – Benedykt zdecydowanie ucieszył się z mojej wizyty. – Co się stało, że zaszczyasz mnie swym przyjazdem?



– Właściwie to mam pewien problem. Za Jelenią Górą załęgły się spore drapieżniki – zacząłem, po czym opowiedziałem o wszystkim staruszkowi.

Benedykt zastanawiał się chwilę, a następnie powiedział:

– Jedynie dwa razy w życiu miałem do czynienia z Wojownikami. Raz, gdy wysłali mnie na misję na Saharę, a drugi w kopalniach na Śląsku. Wtedy miałem je jakoś przenieść. Tamte były mniejsze, wykorzystalem lusterka. U nas teraz pochmurno, byłoby ryzykowne... – zamyślił się na chwilę. – Jak zapewne wiesz, nie możemy pozbyć się ich, ot tak, po prostu machając mieczem. Są gatunkiem chronionym. Oznacza to, że trzeba je przetransportować do rezerwatu. Lecz może to być nieco problematyczne. – Kolejna pauza. – Tak czy inaczej, gniazdo będzie trzeba zniszczyć. Możesz je podpalić, to najlepszy sposób. A co zrobisz z Wojownikami, to już musisz sam postanowić.

Czyli trzeba znaleźć potworkom jakiś rezerwat i cudem je tam przetransportować. Wojownicy zawsze podążają za matką, więc jeśli przekonam ją do pójścia za mną, reszta też pójdzie. Nie wydawało mi się jednak, aby wystarczył mój urok osobisty.

Pożegnałem się z mistrzem i wyszedłem, wciąż rozmyślając nad sposobem, w jaki przekonać Endrygę do opuszczenia gniazda. Wróciłem do swej chaty i poszedłem spać. Było grubo po północy, ja też zasługiwałem na odpoczynek.

Następnego ranka, po wypiciu szybkiej kawy, udałem się do Książnicy Karkonoskiej, aby poszukać czegoś o Wojownikach w dziale zakazanych ksiąg. I znalazłem. Zajęło mi to dwie godziny, ale udało się wyszukać właściwy tom. Otworzyłem na rozdziale o Endrygach.

„Reagują na ogień. Gdy go widzą, od razu zaczynają za nim podążać...”

W mojej głowie powoli zaczął układać się plan.

Niedawno widziałem w gazecie drukowanej dla wyższych rangą oficerów, artykuł o zamieszkujących pobliską, opuszczoną jaskinię Wojownikach. Mowa była oczywiście o Jaskini Walońskiej. Oby w tamtej grupie żaden z potworów nie przekształcił się jeszcze w Endrygę. Wtedy obie grupy mogłby utworzyć stado i żyć sobie z dala od ludzi. Cóż, mogłem polegać jedynie na szczęściu.



Do zmroku pozostało kilka godzin, więc zacząłem przygotowywać materiały na misję. Nie potrzebowałem zbyt dużo. Jedynie długi kawałek drewna, odrobinę smoły i krzesiwo. Gdy zrobiło się wystarczająco ciemno, dosiadłem klacz i ruszyłem w stronę gniazda.

Przed zjazdem z gościńca, odpaliłem pochodnię. Mimo że nie zbliżyłem się przesadnie, od razu zobaczyłem trzy pary rozświetlonych czerwienią oczu, sunących powoli w moją stronę. Kropla potu spłynęła mi po twarzy. To jasne, że czułem strach, obawiając się, że coś pójdzie nie tak. Jednak taki fach. Ryzyko zawodowe.

Spiąłem konia i umiarkowanym tempem ruszyłem w stronę stacji, gdzie miał czekać pociąg towarowy. Miał przewieźć te potworne bestie w bydłych wagonach i dostarczyć je w pobliże wspomnianej wcześniej jaskini. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, stwory powinny połączyć się w jedną gromadę i żyć długo i szczęśliwie, bez dostępu do ludzi.

Wreszcie zobaczyłem światła pociągu. Wagon, do którego mieli wejść Wojownicy, został specjalnie wybrany i wysprzątny tak, aby ogień pochodni, którą zamierzałem tam umieścić, nie rozprzestrzenił się dalej. Ulice zostały zamknięte. Nie chciałem, żeby żaden przypadkowy przechodzień rozproszył uwagę Wojowników.

Potwory podążały za mną jak w hipnotycznym transie. Kiedy byłem już na stacji, zatrzymałem się i machnąłem kilka razy pochodnią. W napięciu czekałem na moment, gdy wielkie czerwone oczy zbliżą się na odpowiedni dystans. Wtedy wrzuciłem przygasający już kawał drewna do wagonu i prędko się odsunąłem. Po chwili cztery cienie przemknęły przede mną, wchodząc do wagonu. Nie schodząc z końskiego grzbietu, spiąłem mięśnie i szybkim ruchem zasunąłem ciężkie drzwi. Najtrudniejsze za mną.

Wprowadziłem moją klacz do innego wagonu, a sam udałem się do maszynisty.

Pociąg ruszył.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, było grubo po północy. Pociąg zatrzymał się na stacji. Wysiadłem, wypuściłem konia i zapaliłem kolejną pochodnię.



Wziąłem głęboki wdech, po czym zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi wagonu, a oczy Endrygi natychmiast wpatrzyły się zachłannie w ogień. Tak samo jak poprzednim razem, powoli ruszyłem konno w stronę mojego celu. Ten był niedaleko. Już z peronu zobaczyć można było zamknięte wejście do grotty. Przy owym wejściu stało kilku mężczyzn, gotowych odsunąć i zasunąć pokrywę we właściwym momencie.

Niespodziewanie Endryga przyspieszyła i zaczęła biec w moją stronę. Wyglądała, jakby chciała mnie zaraz zaatakować. W panice kazałem klaczy przejść do cwału. Pracownicy, widząc, że zbliżam się do wyznaczonego wcześniej punktu kontrolnego, rozsunęli mosiężne odzwia. Jeden z wojowników był tuż przy mojej nodze, ale na szczęście dla mnie wejście było już naprawdę blisko. Mimo paraliżującego strachu, potrafiłem się spiąć i zrobić, co należy.

Wrzuciłem pochodnię prosto do jaskini, a potem w ostatniej chwili kazałem klaczy skręcić. Zarzucił mną w stronę skał, ale odepchnąłem się od nich, ocierając tylko lekko nogą o twardy kamień. Potwory, nie tak mobilne jak mój wierzchowiec, nie zdążyły wyhamować ani skręcić, więc wbiegły prosto do jaskini. Mężczyźni zdążyli na czas zamknąć ciężkie wrota. Byliśmy bezpieczni, a ten etap wyzwania skończony.

Po krótkiej rozmowie z pracownikami, powróciłem do pociągu. Czekало na mnie jeszcze jedno zadanie. Trzeba było pozbyć się gniazda. To akurat nie było trudne ani ryzykowne. Wystarczyło je spalić.

Wysiadłem na peronie, z którego zaczynałem podróż i dosiadłszy konia, ruszyłem klusem w stronę gniazda.

Gdy byłem na miejscu, podpaliłem gałąź, którą znalazłem po drodze i wrzuciłem w legowisko. To szybko zajęło się ogniem. Patyki i naleziska spaliły się, a ziemia i błoto rozpadły. Gdy ogień zgasł, zalałem go wodą z pobliskiego strumienia, a potem zacząłem skakać po kupce zgłiszczy, aby mieć pewność, że gniazdo na pewno zostało zniszczone i że nie zostały się w nim żadne jaja Endrygi.

Koniec roboty. No, prawie. Jeszcze trzeba było złożyć raport dla prezydenta i ogarnąć papierkową robotę. Papierologia była zdecydowanie najnudniejszą częścią naszego zawodu.



Musiałem poczekać chwilę, aż pozwolą mi wejść do prezydenta. Gdy wszedłem do środka, opowiedziałem mu wszystko, od początku do końca. Może pominąłem tę część z niespodziewanym atakiem Endrygi. W tym czasie siedzący w kącie sekretarz sporządzał dokładne notatki.

Przeszło pół godziny później wyszedłem z Ratusza i pojechałem do domu. Raport do wyższych władz zamierzałem złożyć później. Na razie zasługiwałem na dobrą kawę i chwilę odpoczynku, a moja klaczka na porządny obrok.

Z kubkiem pełnym ciepłego naparu, usiadłem na ganku, wsłuchując się w poranny śpiew ptaków. Mogłem odpocząć... do następnego wezwania.

Poznaj autora...

Cześć! Mam na imię Maja i mam trzynaście lat. Chodzę do szkoły muzycznej – gram na akordeonie i śpiewam.



Tym razem praca nienagrodzona, która była jednak na tyle intrygująca, że watro zamieścić ją w tej antologii. Zabrakło tu nieco konsekwencji i oszlifowania, nad rozwiązaniem akcji można by jeszcze popracować, ale tajemnicza atmosfera, motyw jeleniogórskiej zagadki i pomysł zasługują na uwagę. Przy korekcie uznałam jednak, że wbrew zamysłowi autorki, ważnym jest, by Robert pozostał po drugiej stronie portalu, w końcu to do tego od początku dążył. Jeżeli komuś żal mężczyzny, to pretensje trzeba kierować do mnie (choć myślę, że Robertowi po drugiej stronie jest znacznie lepiej). Przeczytajcie sami i oceńcie.



PO DRUGIEJ STRONIE

Godło: K1C1N0B3J7

Równego dnia, pośród malowniczych uliczek i zgiełku codziennego życia, pojawił się w mieście nieznany wędrowiec. Nosił długi płaszcz, a wyraz twarzy miał tajemniczy i nieprzenikniony. Chodził, szepcząc coś pod nosem. Brzmiało to, jakby próbował rozwiązać jakąś zagadkę, ale widocznie mu się to nie udawało.

W jedną z rozświetlonych blaskiem gwiazd i ulicznych latarni nocy, kiedy wędrowiec był na rynku, otworzył zakurzoną tajemniczą księgę, którą kiedyś dostał od ojca. Nie była zbyt wielka, mieściła się w kieszeni jego płaszcza.

Mężczyzna zatrzymał się przy budynku Ratusza. Wyszeptał jakieś zaklęcie, a ściana przed nim zaczęła lśnić. Oślepiające białe światło w jednej chwili przyciągnęło tłum ludzi.

Nagle ze ściany wyłonił się tajemniczy cień. Istota z innego wymiaru.

– Ma dwie nogi i dwie ręce razem, a jednak osobno. Co to? – zapytała dziwna postać.

– To pewnie jakiś test – rzucił jeden z jeleniogórczan.

Ludzie w tłumie zamyślili się. Co odważniejsi wykrzykiwali odpowiedzi, lecz żadna z nich nie była poprawna. Niektórzy poddali się i odeszli do swoich domów, inni się znudzili i zaczęli szeptać, o jakiś głupich mistyfikacjach.

Podróżnik był zawiedziony. Nie wiedział, że zagadka, o której w przeszłości słyszał od ojca, okaże się taka trudna. Nic nie przychodziło mu do głowy.



Nagle podszedł do niego jakiś chłopiec.

– Znam odpowiedź.

– Co? – zapytał ze zdziwieniem wędrowiec.

– To, co pan słyszał. Wiem, jakie jest rozwiązanie tej zagadki – powiedział pewny siebie młodzieniec.

– Bez urazy, ale nawet ja nie znam odpowiedzi, a ty jesteś ode mnie o wiele młodszy. Ile masz lat? – spytał z niedowierzaniem mężczyzna.

– Mam 13 lat – odpowiedział chłopiec.

– I znasz rozwiązanie zagadki, której nawet ja nie jestem w stanie rozgryźć? – dopytał podróżnik.

– Szczudlarz – powiedział z ogromną pewnością siebie nastolatek.

– Co? To ma być słowo-klucz? – zapytał ze zdziwieniem wędrowiec.

– Tak, proszę zobaczyć. – Chłopiec wskazał palcem na znajdującą się niedaleko rzeźbę Szczudlarza.

Cień na ścianie uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

– Gratulacje. Właśnie udało się wam rozwiązać zagadkę oraz otworzyć portal. To miejsce jest granicą światów, której pilnuję. Jeśli ktoś tam wejdzie, nie może już wrócić. Az tej wyjątkowej okazji zobaczenia innego świata, może skorzystać tylko jeden z was. Jednak pamiętajcie, nie każdy jest gotowy na to, co znajduje się po drugiej stronie.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, postać zniknęła w błysku światła. W ścianie pozostał jednak wyraźny jaśniejący w ciemnościach zarys portalu.

– Miło było cię poznać chłopcze, dziękuję. A teraz żegnam – powiedział mężczyzna, zwracając się twarzą do portalu.

– Pan naprawdę chce tam wejść? – spytał drżącym głosem chłopiec.

– Przecież nie ma powrotu.

– Po to tu przyszedłem – stwierdził wędrowiec i zniknął w białym świetle.

Kiedy tylko przekroczył próg portalu, od razu wiedział, że trafił do magicznego miejsca. Nad jego głową rozciągały się piękne zorze. Jak okiem sięgnąć wszędzie dookoła na ziemi był piękny dywan z niebieskich kwiatów. W oddali wędrowiec zobaczył jakieś dziwne kształty przypominające domki. Poszedł w tamtą stronę.



Po chwili wędrowiec stanął jak wryty. Zobaczył ludzi. Dotąd myślał, że tylko jemu udało się wejść do tego świata, najwidoczniej się mylił.

Podszedł do kobiety, która stała najbliżej. Miała czarne włosy, piękną niebieską suknię i zielone oczy.

– Dzień dobry – przywitał się.

– Witam. Jesteś tu nowy? Nigdy cię tu nie widziałam – odpowiedziała z zaciekawieniem kobieta.

– Tak, dopiero tu trafiłem. Nie myślałem, że będzie tu ktoś poza mną – odparł lekko zakłopotany podróżnik.

– Kiedyś portal zawsze był otwarty. Zamknął się niespodziewanie, więc trudno, żeby ktoś tu nie został – powiedziała smutnym głosem czarnowłosa.

– Naprawdę? – zdziwił się wędrowiec. – Opowiesz mi o tym?

– Jakiś czas temu każdy mógł podróżować między światami. Jednak ludzie zaczęli to wykorzystywać w podły i niebezpieczny sposób. Postawiliśmy więc u wrót strażnika, lecz nie wiedzieliśmy, że on już nas stąd nie wypuści.

– To znaczy, że zostanieie tu aż do śmierci? – spytał ze współczuciem mężczyzna. – Ja byłem na to gotowy, zostałem ostrzeżony, ale wy przecież nie.

– Zostaniemy tu na zawsze, kto wie, jak długo to będzie trwało. W tym świecie nie da się umrzeć ze starości, chorób też tutaj nie ma – wyjaśniła czarnowłosa.

– Brzmi idealnie – odparł wędrowiec z nutą radości.

– Niestety, ostatnio ludzie zostają porywani. Podobno stoją za tym jelenie. Mają swoje żerowiska niedaleko stąd, kierując się na północ na pewno byś tam trafił. Dużo osób próbowało odbić zaginionych, żadna z nich nie wróciła. Nie wiemy nawet, czy wciąż żyją – mówiąc to, kobieta była bliska płaczu.

– Pójdę tam. To przecież tylko jelenie. Uratuję waszych zaginionych – powiedział na to pewny siebie podróżnik.

– Jeśli chcesz, próbuj. Ostrzegam cię jednak, jest to bardzo niebezpieczne – powiedziała cicho kobieta.



– Dziękuję, ale dam radę – powiedział mężczyzna, po czym odszedł. Za wskazaniem kobiety wędrowiec skierował się na północ. Po około piętnastu minutach zobaczył przed sobą drzewo. W tym świecie jeszcze żadnego nie widział, więc od razu wzbudziło to jego podejrzliwość. Wyglądało nienaturalnie, zamiast liści miało fioletowe kwiaty, a jego kora była szara i gładka. Co dziwniejsze na pniu znajdował się jakiś przycisk. Po chwili namysłu, podróżnik zdecydował się nacisnąć fioletowy guzik.

Wtedy obok pnia ukazały się schody. Wędrowiec wolno i ostrożnie zaczął schodzić na dół, obawiając się tego, co może tam zobaczyć.

U podnóża jego oczom ukazał się tłum ludzi, bardzo zmęczonych i zmizerniałych. Po lewej stronie dostrzegł trzy wielkie jelenie. Jeden z nich spał. Zanim wędrowiec zdążył cokolwiek zrobić, schody zapadły się i zniknęły, odcinając mu jedyną drogę ucieczki. Dwa jelenie podeszły do niego. Jeden był czarny, drugi miał różową sierść.

– Skąd wiesz o tym miejscu, obcy? – zapytał z przestachem w głosie jeden z nich.

– Wygrała ciekawość. Zobaczyłem drzewo, na którym ktoś umieścił przycisk. Trudno było się oprzeć, a potem trafiłem tutaj – wyjaśnił wędrowiec. – Szukam zaginionych... i chyba właśnie ich odnalazłem – dodał, patrząc na złęczonych ludzi w prawej części podziemnej komory.

– Rozumiem. Ja jestem Nocits, a to Rosalia – przedstawił siebie oraz swoją towarzyszkę czarny jeleni.

– Miło poznać, ja nazywam się Robert – zdradził swoje imię podróżnik, ośmielony łagodnością porywaczy. – Nie wyglądacie na agresywne, dlaczego więc porywacie ludzi?

– Potrzebujemy, aby ktoś zdobywał dla nas jedzenie. Nie jesteśmy nieśmiertelne, musimy jeść, żeby żyć. Patrzysz na trzy ostatnie jelenie w tym świecie. Reszta naszych braci i siostr wymarła z powodu braku pożywienia – wyjaśniła Rosalia.

– *Aqualis viridescens*, to rodzaj kwiatów, którymi się żywimy. Nazwa pochodzi z łacińskiego. *Aqualis*, od słowa „aqua” oznaczającego wodę, odnosi się do niebieskich liści i łodyg. *Viridescens* jest formą



słowa „viridis”, oznacza zielony, co mówi o kolorze kwiatów tej rośliny. Niestety, tych roślin zostało już bardzo niewiele, a my nie wiemy, jak je wyhodować. Próbowaliśmy was naśladować, wsiewaliśmy nasiona, nosiliśmy w pyskach wodę, by je podlewać, ale wszystko na nic. Myśleliśmy, że musi to zrobić człowiek, więc zmusiliśmy ludzi, aby to dla nas zrobili, ale i oni się poddali – objaśnił zrezygnowany Nocits.

– *Aqualis viridescens*... pamiętam, czytałem o nich. Pomogę wam, jeśli dacie mi sadzonkę kwiatu, ale pod warunkiem, że wypuscicie stąd wszystkich porwanych – zaproponował Robert.

– Naprawdę? Potrafisz to zrobić? – podekscytowała się Rosalia.

– Dobrze. Zgadza się. Mam jednak nadzieję, że się na tobie nie zawiedziemy, inaczej wszystko stracone – powiedział czarny jeleni i zaprowadził Roberta do posadzonych nasion, które nie chciały wykiełkować.

Wędrowiec wyciągnął z kieszeni swoją księgę. Otworzył na stronie, na której w nagłówku było napisane „*Aqualis viridescens*”. Przeczytał kilka słów w nieznanym nikomu z obecnych języku. Już po chwili z nasiona wyrosła roślina. Był to ogromny, niebiesko-zielony kwiat o pięknym wyglądzie. Po nim rozwinęły się kolejne i kolejne, aż rozkwitło całe pole.

– Udało się! – krzyknęła uszczęśliwiona Rosalia, przytulając się do czarnego jelenia.

– Zostawię wam słowa zaklęcia, nigdy już nie będziecie musieli głodować.

– Dziękujemy bardzo, Robercie. Teraz, zgodnie z obietnicą, ludzie zostaną wypuszczeni. Zaraz pojawiają się schody, którymi tu przyszedłeś i będziecie mogli stąd wyjść – powiedział z opanowaniem Nocits.

Stało się tak, jak powiedział czarny jeleni, wyjście zostało otwarte i ludzie opuścili to miejsce. Robert zaprowadził ich do wioski. Wciąż współczuł jednak tym, którzy tu byli, ponieważ większość z nich chciała wrócić do normalnego świata. Zdecydował więc, że i w tym im pomoże.

Następnego dnia podróżnik ruszył do granicy światów, gdzie znajdował się portal. Zobaczył tam tę samą istotę, która zadała mu zagadkę w ziemskim wymiarze, lecz tutaj była ona biała, a nie czarna. Podszedł



niepewnie bliżej, nie do końca wiedząc, czego może się spodziewać, po czym uprzejmie spytał, czy jest jakaś możliwość powrotu do poprzedniego wymiaru.

Strażnik odpowiedział:

– Przychodząc tutaj, wiedziałeś, że już nie wrócisz. Znałeś konsekwencje. Dlaczego więc pytasz? Odejdź, zanim zniszczę cię za twoją niewdzięczność i butę.

– Łaskawy Strażniku, nie chodzi o mnie. Jest tu wielu ludzi, którzy nie byli gotowi na takie uwięzienie – wyjaśnił ze smutkiem Robert.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? Jestem tu strażnikiem, moje zadanie to trwać na straży portalu. I mam ich tak po prostu wypuścić? – zapytał trochę zirytowany awatar.

– Miałem nadzieję, że tak. Odźwierny zarówno wpuszcza, jak i wypuszcza przechodzących – zauważył podróżnik.

– Nie jestem odźwiernym, tylko strażnikiem – zadudniła dumnie istota.

– Może jest jednak jakiś sposób? – dopytał wędrowiec, cofając się przezornie o krok.

Biel skłębila się i zafalowała.

– Owszem, jest. Musicie mi złożyć ofiarę z jelenia. Bez podstępów, jeśli spróbujecie mnie oszukać, zginiecie wszyscy – powiedział stanowczo strażnik. – A teraz nie zawracaj mi więcej głowy i albo mi go przyprowadź, albo się tu więcej nie pokazuj.

Robert skłonił głowę i zaraz pobiegł z powrotem do wioski.

Zamknął się w domku, który mu przydzielono i tam przemyślał słowa strażnika. Przecież zostały tylko trzy jelenie... Jak mógłby je prosić o takie poświęcenie? Z kolei przyprowadzić je pod portal siłą, byłoby niemal niemożliwe. To były wielkie i silne zwierzęta, z groźnym porozem, którym byłyby w stanie przebić człowieka na wylot.

Robert nie wiedział, co zrobić. W końcu stwierdził, że warto porozmawiać z tamtą trójką. Może same jelenie pomogą mu znaleźć rozwiązanie.

Ponownie ruszył na północ, a gdy znalazł jedyne w tym świecie drzewo, wcisnął przycisk i zszedł po znajomych schodach. Znalazł się



w podziemnym legowisku. Czarny i różowy jelen przechadzały się, podszczypując płatki *Aqualis viridescens*. Ich towarzysz, biały jelen, ponownie spał.

Mężczyzna podszedł i przywitał się ze znajomą dwójką. Wyjaśnił, na czym polega jego problem.

– Co?! I ty myślisz, że damy się ofiarować tylko po to, żebyście mogli wrócić do tego waszego innego świata?! – zdenerwowała się Rosalia. – Teraz, gdy zostało nas tak mało?! Może nam pomogłeś, ale nie masz prawa żądać czegoś takiego w zamian.

Robert zmieszał się. Gdy tylko zrozumiał, jak okrutnie musi brzmieć jego prośba, zaczął żałować, że w ogóle tu przyszedł.

– Przepraszam, ale to jedyne... – zaczął Robert, lecz biały jelen, który właśnie się obudził, przerwał mu.

– Możecie złożyć mnie w ofierze – jego głos był bardzo słaby i ledwie słyszalny.

– Lux, nie! – wykrzyknęła Rosalia.

– I tak nie zostało mi wiele życia, może tydzień... Atak przynajmniej na coś jeszcze się przydam – odpowiedział jej schorowany towarzysz.

– Jesteś tego pewien? – spytał jak zawsze spokojny Nocits.

– Tak – odpowiedział z pewnością w głosie Lux. – Niech wrócą do swojego domu.

– Pozwalasz mu, Noctis? Czy moje zdanie już się nie liczy? – zdenerwowała się Rosalia.

– To jego wybór. A my możemy się w ten sposób odwdzińczyć Robertowi i uznać to za przeprosiny dla ludzi, których tu przetrzymywaliśmy. Niech zachowają o nas dobrą pamięć – odpowiedział niewzruszony czarny jelen i oddalił się, by odbyć żałobę po utraconym towarzysz.

Robert podziękował, unikając patrzenia Rosali w oczy. Ruszył na granicę, a biały jelen stapał powoli za nim.

Strażnik przyjął ofiarę i zniknął bez słowa na czas potrzebny do opuszczenia tego miejsca. Portal został otwarty. Wszyscy wrócili do swojego świata, poza jednym, który od dziecka tęsknił do niezwykłego, zatrzymanego w czasie miejsca z barwnych opowieści swojego ojca.



Tego samego dnia przejście zostało zamknięte. Portal nigdy więcej się już nie pojawił, a o tajemniczym wędrowcu słuch zaginął. Na pamiątkę tego wydarzenia i poświęcenia Luxa, miasto, w którym się to wydarzyło, zostało nazwane Jelenią Górą i nosi tę nazwę po dziś dzień.

Poznaj autora...

Mam trzynaście lat. Lubię słuchać muzyki. Moi ulubieni wykonawcy to Stray Kids, Enhypen i Nmixx. Kocham także grać na skrzypcach. Uwielbiam czytać mangi i oglądać anime. W wolnym czasie lubię też rysować.



Kolejne opowiadanie, również poza podium, to mały manifest przeciwko przemocy i okrucieństwu wobec zwierząt. Jury spodobał się silny charakter głównej bohaterki i mądre przesłanie fabuły. Krótko, ale treściwie.

Zwracając uwagę na młody wiek autorki, zaskakującym dla mnie okazały się wnioski umieszczone po finałowej przemowie Arabelli. Ach, te młode pokolenia dziewcząt, już tak silnie przesiąknięte feministycznym duchem ;).



KSIĘŻNICZKA ARABELLA, JELENIOGÓRSKA STRAŻNICZKA ZWIERZĄT

Godło: KORONA

W sercu Karkonoszy, w malowniczej Jeleniej Górze, czas płynął inaczej. W mieście otoczonym lasami i wieloma wspaniałymi, górskimi krajobrazami, przed wiekami znajdował się piękny, ceglany zamek, którego mieszkańcy w nadzwyczajny sposób dogadywali się z naturą. W tej dziedzinie przodowała księżniczka – przepiękna istota imieniem Arabella. Była to dziewczyna o długich, złocistych włosach oraz cudownie hipnotyzujących niebieskozielonych oczach, których blask onieśmielał każdego jegościa. Poza urodą posiadała nadzwyczajną umiejętność porozumiewania się ze zwierzętami.

Księżniczka spędzała długie godziny w lasach, rozmawiając z podopiecznymi. To było jej ulubione zajęcie. Na jej nieszczęście zbliżały się tak zwane „nabory na męża”. Każdy kandydat, który chciał się starać o rękę Arabelli, musiał stoczyć walkę z najniebezpieczniejszym jeleniem z puszczy. Pomimo przyjaznych więzi mieszkańców ze zwierzętami, ten zwyczaj był sprawowany od stuleci na zamku królewskim i nie zamierzano z niego rezygnować.

Arabella była tej tradycji przeciwna, nie chciała, żeby jakikolwiek, najwyraźniej mocno niedouczony, mężczyzna, który nie miał do zaoferowania niczego więcej poza siłą i przemocą, starał się o trwanie przy jej boku do końca wspólnych dni. Dzięki podaniom w starych



księgach księżniczka wiedziała, że król i jego armia wyruszyć mają na poszukiwania owego zwierzęcia, z którym miał stoczyć walkę każdy jej adorator, na trzy dni przed planowanymi zaręczynami. Obmyśliła więc plan.

W dzień wyjazdu ojca Arabella dokładnie sprawdziła piwnice oraz lochy zamku, w których miał być więziony pojmany jeleń. Przemyślała każdy sposób na ucieczkę z podziemi. Żaden nie był skuteczny. Bramy, lochy czy piwnice były zbyt pilnie strzeżone, aby udało jej się wydostać stamtąd zwierzaka.

Zrezygnowana księżniczka opuściła ceglane mury i wybrała się na małą przechadzkę po ogrodach zamku. Gdy szła, pod jej srebrnymi pantofelkami żwir chrupał w nieprzyjemny sposób, a rośliny opuszczały się ku ziemi, jakby czuły smutek dziewczyny. Po długiej przechadźce Arabella nareszcie usiadła na brzegu niewielkiej fontanny. Ciepła, słona łza spłynęła z gracją po jej czerwonym od rumieńców policzku.

Nagle na ramieniu księżniczki usiadł malutki koliberek, który wypowiedział do jej ucha cichy ćwierk:

– Pamiętaj, zawsze jest jakieś wyjście. – Zaraz odleciał swoimi drobnymi skrzydełkami, które w blasku słońca wydawały się tak przepiękne, że aż nierealne.

Księżniczka niewiele zrozumiała z pouczenia ptaszka, w końcu nie niosło ze sobą żadnego rozwiązania.

Minęły dokładnie trzy dni. W książęcej bawialni odbywały się wielkie przygotowania do występu dziedziczki. Pokojowe plotły jej warkocze, wpinając w nie jednocześnie drobne ozdoby z kwiatów. Wcześniej księżniczka przymierzała różne suknie i gorsety, które nadawały sylwetce olśniewający wygląd, ale wszystko to było jej obojętne. Nie mogła znieść myśli, że z powodu jej zaręczyn ma być zabite niewinne zwierzę.

Nadszedł czas. Mieszkańcy Jeleniej Góry rozsiedli się na trybunach zamkowej auli, a prowadzący ceremonię zabrał głos:

– Witajcie, mieszkańcy! – krzyknął głośno. – Zebraliśmy się tu, aby znaleźć dziś tego jedynego, najdzielniejszego męża dla naszej ukochanej księżniczki Arabelli! – mówiąc to, ceremoniarz wskazał na miejsce,



gdzie siedzieć miała przyszła panna młoda. Jak się pewnie domyślicie, wcale jej tam nie było.

Z zupełnie innego miejsca na sali rozległ się donośny, kobiecy głos:

– Stać! Nikt nie będzie z nikim walczył!

– Ale Arabello... – próbował wtrącić król.

– Nie, ojcze. Koniec tego chorego rytuału. Jeżeli ktoś chce starać się o mą rękę, to na pewno nie zdobędzie jej przemocą i cierpieniem niewinnych zwierząt. Nie obchodzi mnie tradycja, żaden okrutny wilk w ludzkiej skórze nie zostanie moim mężem – wykrzyczała.

Do walki rzeczywiście nie doszło, a o rękę Arabelli już nikt nie poprosił. Mężczyźni uważali jej upór za niedorzeczny, a tak naprawdę bali się wyjść za kobietę, która potrafi wyrazić swoje zdanie i nie boi się konsekwencji, jakie będzie musiała ponieść.

I w taki właśnie sposób dochodzimy do końca tej historii. Czy znalazł się jakiś książę, który nie bał się pokojowo zawalczyć o rękę Arabelli? Tego się już nie dowiemy. Ale jedno możemy stwierdzić na pewno – księżniczka Arabella z jeleniogórskiego królestwa została nie tylko patronką wszystkich zwierząt. Zapisła się również w historii, jako ta, która udowodniła, że płeć czy poglądy nie mają znaczenia, jeśli tylko postawimy przed sobą cel, w który będziemy głęboko wierzyć. Wtedy wygramy każdą walkę, nawet tę najtrudniejszą.

Poznaj autora...

Mam na imię Lila, w kwietniu skończyłam czternaście lat. Lubię pisać i czytać.



W drugiej kategorii wiekowej (17–25 lat) otrzymaliśmy tylko jedną pracę. Nie dziwi więc, że bezkonkurencyjnie to temu opowiadaniu zostało przyznane pierwsze miejsce. Jednak warto podkreślić, że w ogólnej punktacji „Tajemnicy Wzgórza Krzywoustego” zabrakło jedynie trzech punktów, żeby przegonić najwyżej punktowaną opowieść o Hicerze Bartłomieju, którą mieliście już przyjemność poznać. Maksym Jasiński zasłużył sobie więc na szczere gratulacje.

To dobry tekst, z logicznie skomponowaną fabułą i przemianą głównego bohatera. Do tego autor najlepiej spośród wszystkich uczestników zrealizował wymóg nawiązania do Jeleniej Góry, luźno sięgając do historii miasta i charakterystycznych, okolicznych miejsc. Bardzo spodobał mi się motyw ze złym alchemikiem. Sprawdźcie, czy i dla Was taki czarny charakter okaże się wystarczająco złowrogi.



TAJEMNICA WZGÓRZA KRZYWOUSTEGO

Maksym Jasiński

WXIV wieku Jelenia Góra, pod panowaniem czeskim, tętniła życiem jako prężny ośrodek handlowy i rzemieślniczy. Kupcy i różnego rodzaju wytwórcy wypełniali miejski rynek, a w powietrzu unosił się zapach świeżego chleba, gorzałki i dymu z kowalskich kuźni. Z kolei w miejskich zaułkach krążyły opowieści o skarbach templariuszy, rzekomo ukrytych w tej okolicy. W te legendy, zrazu niedorzeczne, uwikłał się pewnego dnia Henryk, młody polski rycerz.

Młodzieniec podróżował wraz ze starszym i doświadczonym Bolesławem, weteranem wielu bitew, którego traktował jak swojego mentora. Razem zmierzali na Węgry, gdzie miały czekać na nich nowe możliwości, lecz los poprowadził ich inaczej. Jelenia Góra miała być tylko ich przystankiem, miejscem odpoczynku przed dalszą drogą, ale dziwna opowieść zasłyszana w przydrożnej karczmie zmieniła wszystko.

W gospodzie, w której dwaj rycerze zatrzymali się na noc, panował gwar i zgiełk. Kupcy rozmawiali o interesach, rzemieślnicy pili na umór, a przy jednym ze stołów dwaj mężczyźni ściszoną głosem snuli opowieść o legendarnym skarbie templariuszy, ukrytym w ruinach na Wzgórzu Krzywoustego. Henryk, choć zmęczony podróżą, gdy tylko usłyszał słowo „skarb”, nie potrafił oprzeć się pokusie i podszedł bliżej, udając, że przygląda się zdobnie rzeźbionym kufłom piwa na ladzie.

– Mówią, że to nie tylko złoto i kosztowności – jeden z mężczyzn ściszył głos, nachylając się nad stołem. – Ale i tajemnice, które mogą zmienić bieg historii.



Henryk uniósł brew, zastanawiając się, czy to jedynie pijacka paplania, czy może jednak trop warty uwagi. Nie był bogaty, a perspektywa zdobycia skarbu, dzięki któremu mógłby odmienić swój los, wydawała się kusząca.

Gdy wrócił do stołu, przy którym siedział Bolesław, starszy rycerz od razu dostrzegł jego rozkojarzenie.

– Co kombinujesz, chłopcze? – zapytał, upijając łyk gorzkiego piwa.

Henryk, tajemniczo uśmiechnięty, podparł przedramię o stół.

– Powiedz mi, Bolesławie, słyszałeś kiedyś o skarbach templariuszy?

Starszy rycerz spojrzał na niego przenikliwie, a potem westchnął, jakby wróciły do niego wspomnienia dawnych lat.

– Tyle ich w legendach, co piasku na pustyni. Każdy co innego gada.

Henryk przeczuwał, że jego starszy towarzysz wie więcej, niż przyznaje. Wiedział też, że on sam tej nocy nie zaśnie – w jego myślach zaczął rodzić się nowy cel.

Nazajutrz, gdy pierwsze promienie słońca ledwie prześlizgiwały się po brukowanych uliczkach Jeleniej Góry, Henryk opuścił gospodę, kierując się w stronę rynku. Bolesław, choć początkowo sceptyczny, zgodził się pomóc młodszemu towarzyszowi w rozwikłaniu zagadki.

Najlepszym miejscem na zdobycie informacji była zwykle miejska karczma – centrum plotek, opowieści i sekretów.

Po przekroczeniu progu, Henryk przesunął spojrzeniem po wnętrzu gospody, szukając spojrzeniem znajomej twarzy. W końcu dostrzegł młodą kobietę, która krzątała się między stołami, roznosząc jadło i piwo. Anna miała długie, kasztanowe włosy, a jej oczy błyszczały inteligencją i czymś, co silnie przyciągało uwagę rycerza. Choć początkowo jego zamiary miały charakter lekki i niezobowiązujący, chciał tylko rozeznać się w krążących pogłoskach, szybko zorientował się, że dziewczyna może być kluczem do rozwikłania zagadki skarbu templariuszy.

Podszedł do kontuaru i oparł się o ladę.

– Piękny poranek, równie urodziwy jak ty – rzucił z uśmiechem młody rycerz, starając się przyciągnąć uwagę robotnej dziewczyny.



Anna spojrzała na niego z politowaniem, jakby dobrze znała podobne zaczepki podróżnych.

– Może i piękny dla tych, co nie muszą sprzątać po wczorajszej nocy – dodała, nie zwalniając ruchów.

Henryk uśmiechnął się szerzej.

– Mówisz, jakbyś słyszała już wszystkie możliwe teksty podróżnych.

– I to więcej, niż chciałabym zapamiętać – stwierdziła Anna, kładąc przed nim kufel piwa. – Ale wątpię, żebyś podszedł tu tylko po to, by prawić mi komplementy. Czego szukasz?

Rycerz nachylił się, ścisząc głos.

– Wczoraj w pobliskiej gospodzie usłyszałem pewną historię o skarbach templariuszy ukrytych na Wzgórzu Krzywoustego. Podobno wielu już próbowało je odnaleźć, ale nikomu dotąd się to nie udało. Może ty wiesz na ten temat coś więcej?

Anna przerwała na moment, wpatrując się w niego badawczo. Po chwili odłożyła dzban, który trzymała w dłoniach i również nachyliła się ku rycerzowi.

– To nie jest temat do rozmów przy piwie. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, spotkajmy się w trójkę po zmroku, za gospodą. Lepiej nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

Henryk kiwnął głową, czując ekscytację rosnącą w jego wnętrzu. Nie wiedział jeszcze, że ta rozmowa wciągnie go w wir wydarzeń, które na zawsze zmienią jego życie.

Tego wieczoru, zgodnie z umową, Henryk wraz z Bolesławem udali się za gospodę. Księżyc wisiał nisko nad miastem, rzucając długie cienie na brukowane ulice. Gdy młody rycerz rozejrzał się wkoło, wpół mroku dostrzegł sylwetkę Anny. Dziewczyna stała oparta o drewnianą beczkę.

– Czyli jednak jesteś – powiedziała cicho.

– Przyszedłem, jak się umówiliśmy – odparł Henryk, podchodząc bliżej.

Anna spojrzała na niego uważnie, jakby chciała ocenić, czy warto zdradzać mu to, czego się dowiedziała. Po chwili westchnęła i odgarnęła luźny kosmyk włosów za ucho.



– Skarb templariuszy... – zaczęła. – Odkąd pamiętam, w Jeleniej Górze krążą o nim legendy. Mówią, że został ukryty na Wzgórzu Krzywoustego, w starym forcie, dawno opuszczonym i zapomnianym przez ludzi. Tylko, że wielu już tam szukało i nic nie znalazło. Ale ta historia ma więcej niż jedno oblicze.

Henryk zmarszczył brwi, słuchając jej uważnie.

– Co masz na myśli?

Anna skrzyżowała ramiona na piersi.

– To nie tylko złoto. Mówi się, że templariusze pozostawili po sobie coś więcej. Coś, co może dać ogromną władzę. Nie wiem, czy to prawda, ale mogę zdradzić wam jedno, nie jesteście jedynymi, którzy go szukają.

Henryk i Bolesław wymienili spojrzenia.

– Dlaczego nam o tym mówisz? – zapytał Henryk, znów zwracając się twarzą do dziewczyny.

Rozmówczyni uśmiechnęła się lekko.

– Bo chcę, żeby ten skarb trafił w dobre ręce. O ile w ogóle istnieje.

Henryk długo wpatrywał się w Annę, starając się wyczytać prawdę z jej oczu. W końcu kiwnął głową.

– W takim razie chodź z nami. Możemy się przydać sobie nawzajem.

Anna wahała się tylko przez moment, po czym przytaknęła.

Opuścili miasto i ruszyli leśnymi ścieżkami. Podczas marszu w kierunku Wzgórza Krzywoustego, co jakiś czas Henryk zerkał na Annę. Dziewczyna wydawała się niespokojna – raz po raz rozglądała się na boki, jakby spodziewała się, że ktoś ich śledzi. W końcu prze-rwała ciszę.

– Mówiłam wam, że nie jesteśmy jedynymi, którzy szukają skarbu – powiedziała, a jej głos zabrzmiał niezwykle poważnie.

Bolesław spojrzał na nią czujnie.

– Kto jeszcze?

Anna zawahała się na moment, jakby zastanawiała się, ile może im wyjawić.



– Nazywa się Konrad. To człowiek bogaty, wpływowy i niebezpieczny. Pożąda chwały i bogactwa. Pragnie skarbu wyłącznie dla siebie, bo wierzy, że to klucz do władzy.

Henryk zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz o jego zamiarach?

– Bywał w karczmie. Często pytał o legendy, kupował stare księgi i rozmawiał z ludźmi, którzy wiedzą więcej, niż powinni. Nie działa sam. Ma zbirów, którzy wykonują za niego brudną robotę. Widziałam kilku z nich, typy spod ciemnej gwiazdy. Jeśli ktoś doniósł mu o waszych poszukiwaniach, musimy być bardzo ostrożni.

Bolesław splunął pod nogi.

– Słyszałem, o kimś takim. Jeśli to ten sam Konrad, o którym myślę, to sprawa jest poważniejsza, niż nam się wydawało.

– Co o nim wiesz? – zapytał Henryk.

Starszy rycerz spojrzał ponuro na młodszego towarzysza.

– Szlachcic z Pragi, ale jego serce czarne jak noc. Studiował alchemię, ponoć zna się na rzeczech, które zwykłym ludziom śnią się w koszmarach. Jego ambicje nie mają granic, a jeśli rzeczywiście wierzy, że skarb templariuszy pomoże mu zdobyć władzę... może nie chce go nam dobrowolnie odstąpić – zakończył sugestystycznie Bolesław.

Henryk zacisnął pięści.

W tej chwili zza drzew dobiegł ich cichy szmer. Wszyscy troje natychmiast się zatrzymali, po czym zbiegli ze ścieżki i przykucnęli w pobliskich krzewach, obserwując uważnie drózkę. Henryk i Bolesław położyli dłonie na główkach mieczy, a Anna skuliła się za rycerzami.

Po chwili spomiędzy drzew wyłonili się trzej mężczyźni. Byli odziani w skórzane kaftany, uzbrojeni w krótkie miecze i noże. W rękach trzymali pochodnie. Jeden z nich, szczerbaty osiłek, zaczął się uważnie rozglądać.

– Rozumiem, że to są ci jego najemnicy – rzucił po cichu Henryk z kpiącym uśmiechem.

– Tak. To oni – odpowiedziała strachliwym głosem Anna.

Mężczyzna parsknął pod nosem.

– Nie wyglądają na zbyt groźnych. Powinniśmy dać im radę. Prawda, Bolesławie?



– Nie bądź taki narwany, poczekajmy aż przejdą – odpowiedział tamten z dezaprobatą.

Najemnicy cofnęli się w las, zostawiając ich z przeczuciem, że Konrad dobrze wie o ich wyprawie i jest bliżej, niż im się wydawało.

Klucząc pod osłoną nocy, Henryk, Bolesław i Anna wreszcie dotarli na skraj gęstego lasu, który porastał zbocza Wzgórza Krzywoustego. Wysokie, poskręcane drzewa rzucały na ziemię złowrogie cienie, a ich liście szeptały cicho na wietrze.

Ścieżka, którą teraz podążali wędrowcy, była ledwie widoczna – dawno zapomniana przez ludzi, teraz odzyskana przez naturę.

– To tutaj – powiedziała w końcu Anna, wskazując na porośnięte mchem pozostałości po kamiennym forcie.

W trójkę weszli do środka, rozglądając się za wskazówkami. Poszukiwania trwały długo, gdy wtem uwagę Henryka przykuł kamień ze startym, ledwo widocznym znakiem templariuszy. Młody rycerz uklęknął obok kamienia i zaczął odgarniać ziemię pod nim. W trakcie pracy zranił kostki palców o kamienie i ułamał boleśnie jeden z paznokci. Już miał zrezygnować, gdy nagle poczuł pod opuszkami coś twardego – metalowy, okrągły przedmiot. Gdy go wydobył i oczyścił, okazało się, że ten jest misternie zdobiony symbolami, których znaczenia nie potrafił odczytać.

Bolesław przyklęknął obok i przyjrzał się znalezisku.

– To pieczęć. Wygląda jak coś, co istotnie mogło należeć do templariuszy.

Henryk uniósł artefakt do światła księżyca i przesunął kciukiem po jego powierzchni. Wtedy stało się coś dziwnego – runy na metalu rozbłysły na moment bladym światłem, po czym zaraz zgasły. Anna wstrzymała oddech.

– To nie jest zwykła pieczęć – szepnęła.

W tej samej chwili las wypełnił złowróżbny dźwięk – trzask łamanych gałęzi. Znikąd zerwał się porywisty wiatr.

– Ktoś się zbliża – warknął Bolesław, usłyszawszy kroki. Od razu schwycił za rękojeść miecza.



Nie było czasu do stracenia. Henryk mocno ścisnął artefakt w dłoni i dał znak towarzyszom, by ruszali za nim. Podążyli za wskazówką – symbole na pieczęci układały się w coś, co przypominało mapę. Wąska ścieżka prowadziła ich coraz głębiej w las, aż w końcu, po długim marszu, ich oczom ukazała się stara, zrujnowana wieża.

– To musi być to – powiedział Henryk, patrząc na wznoszącą się przed nimi budowlę.

Wieża górowała nad nimi, niczym milczący strażnik przeszłości. Była niemal całkowicie pochłonięta przez naturę – jej mury porastał bluszcz, z kamieni wyzierały poprzerastane korzenie, a część sklepienia dawno runęła, ustępując miejsca koronom drzew. Mimo to, w jej wnętrzu wciąż mogło kryć się coś cennego.

– Dziwne. Mieszkam tu od dziecka, a nigdy nie słyszałam o tym miejscu – odezwała się zaskoczona Anna.

– Nie traćmy czasu na rozmowy. Jeśli my tu dotarliśmy, Konrad też może – ostrzegł Bolesław.

Henryk zacisnął dłoń rękojęści miecza. Jego mentor miał rację, nawet bez wskazówek, tamci mogą trafić tutaj po ich śladach. Wiedział, że dopiero teraz zacznie się prawdziwa walka o skarb templariuszy. Pomyślał to w złą godzinę.

Nagle las zadrżał pod ciężkimi krokami, a z ciemności wyłonili się uzbrojeni mężczyźni. Tych najemników chroniły metalowe pancerze, a ich twarze pozbawione były honoru. Nie było wątpliwości, że to żołdacy Konrada. I to wielu. Sam ich przywódca pojawił się mginnie później, z dumnym uśmiechem i zimnym spojrzeniem, które zaraz wbił w Henryka.

– Nie myśleliście chyba, że pozwolę wam tak po prostu wziąć to, co należy do mnie? Naiwni słabeusze, nieznający arkanów ciemnej magii – powiedział Konrad, wydobywając miecz. – Ten skarb to klucz do władzy, którą tylko ja potrafię wykorzystać.

Bolesław, nie tracąc czasu na słowa, dobył broni. Henryk zrobił to samo, rzucając artefakt Annie stojącej przy wejściu do wieży.

– Postaraj się wejść do środka, my ich zatrzymamy – polecił młody rycerz i zaraz rzucił się w stronę najbliższego z najemników.



Rozpętała się zacięta walka. Ostrza zderzały się z hukiem, który niósł się echem po kamiennych ruinach. Henryk walczył jak nigdy dotąd – unikał ciosów, parował uderzenia i raz za razem powalał kolejnych zbirów. W pewnym momencie kątem oka dostrzegł, jak Bolesław osuwa się na kolano, trzymając się za ramię, z którego spływała krew.

– Bolesław! – Henryk zrobił krok w jego stronę, ale wtedy usłyszał coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Krzyk Anny.

Wszystko wokół niego zamarło. Spojrzał w stronę wieży. Drzwi były otwarte i nigdzie w zasięgu wzroku nie mógł dostrzec Konrada.

Henryk mocniej zacisnął rękę na rękojeści swojego miecza i z nowymi siłami natarł na przeciwników. Ostatni z najemników padali na ziemię pod ciężarem jego ciosów. Po wyczerpującej walce, sprawdzisz przedtem, czy Bolesław jest cały, rzucił się w stronę wieży. Wbiegł do środka, ledwo łapiąc oddech.

Anna klęczała na kamiennej posadzce, zaciskając dłoń na ranie na ramieniu. Przed nią stał Konrad, trzymając w prawicy zakrwawiony miecz.

– Odejdź, jeśli życie ci miłe – rzucił z kpiną do młodego rycerza.

Henryk jedynie parsknął, po czym machnął mieczem na odlew, prowokując przeciwnika do walki. Gniew buzował mu w żyłach.

Konrad przyskoczył pierwszy. Ich ostrza starły się z potężnym hukiem, a iskry posypały się na kamienne schody. Walka przenosiła się coraz wyżej, po wijących się stopniach wieży. Henryk czuł, że Konrad jest mocny w ciosie, ale brakowało mu zręczności – polegał tylko na brutalnej sile, brakowało mu finezji.

Gdy walczący dotarli na sam szczyt, Henryk dostrzegł dla siebie szansę. Uniknął potężnego ciosu, zrobił zwód i pchnął Konrada barkiem.

Alchemik stracił równowagę. Jego buty poślizgnęły się na wilgotnym kamieniu. W oczach Konrada pojawiło się przerażenie.

– Nie...! – zdążył wydusić, nim poleciał w dół. Jego krzyk rozdarł noc. Potem zaległa cisza.

Henryk oparł się o mur, łapiąc oddech. Spojrzał przez wyrwę w podłodze w dół, na Annę, a ona, mimo bólu, uśmiechnęła się słabo. Po



chwili rycerz zszedł o kilka stopni i stanął w sercu wieży. Wedle wskazań pieczęci to tam znajdowała się skrytka templariuszy. Gdy odsunął ciężką kamienną płytę, jego oczom ukazały się, lśniące w świetle pochodni, klejnoty, złote monety i bogato zdobione artefakty. Było tego wystarczająco dużo, by zapewnić mu dostatnie życie. Jednak zamiast radości, poczuł na barkach nagły ciężar odpowiedzialności.

Wtem w powietrzu zawirował chłodny podmuch, a cienie na ścianach zaczęły się poruszać w nienaturalny sposób. Henryk cofnął się o krok, gdy pojawiły się przed nim wyprane z barw sylwetki w zbrojach – duchy dawnych strażników skarbu.

Młody mężczyzna czuł, że oto stoi przed próbą.

Przez chwilę milczał, wpatrując się w niemych wartowników, a myśli kotłowały mu się w głowie. Gdy wyruszał na tę wyprawę, marzył o bogactwie, o zmianie swojego losu, o zdobyciu czegoś, co zapewni mu lepszą przyszłość. Skarb templariuszy miał być jego triumfem. Ale teraz...

Wspomniał na Annę i Bolesława, przywołał w pamięci wszystkie decyzje, które doprowadziły go do tego momentu. Konrad chciał użyć tego bogactwa do własnych celów – do zdobycia władzy, do umocnienia swojego wpływu i podporządkowania sobie innych. A on, Henryk? Czy nie był kiedyś taki sam? Czy w głębi duszy nie pragnął tego samego?

Tylko, że zmienił się.

Widział, jak Bolesław walczył u jego boku, nie dla złota, ale dla zasad i łączącej ich przyjaźni. Obserwował, jak mieszkańcy Jeleniej Góry, prości ludzie, żyli dniem codziennym, nie myśląc o wielkich skarbach i wyprawach, ale o przetrwaniu kolejnej zimy. Zaś Anna zaufała mu, choć mogła zbyć go milczeniem lub odejść, gdy zaczęło robić się niebezpiecznie.

Henryk wziął głęboki wdech.

– Ten skarb nie jest mój – powiedział stanowczo, podnosząc wzrok na duchy. – Przekażę go miastu, by służył jego mieszkańcom.

Na te słowa duchy uniosły na niego wzrok, a potem powoli zaczęły niknąć. Ostatnie słowa, jakie usłyszał rycerz, zanim zjawy rozwiały się w powietrzu, brzmiały:

– Dokonałeś właściwego wyboru.



Kilka tygodni później Jelenia Góra zmieniła się nie do poznania. Dzięki skarbowi udało się naprawić zniszczone budynki, rozbudować rynek i wzmocnić mury miejskie. Henryk, choć nie szukał chwały, stał się bohaterem. Mieszkańcy szanowali go nie za siłę, lecz za mądrość i serce, jakie im okazał. Bolesław, mimo odniesionych ran, dochodził do siebie, a Anna, choć nosiła bliznę po walce, śmiała się tak samo radośnie jak wcześniej.

Gdy Henryk, w towarzystwie swojego starszego kompana, opuszczał miasto, by wyruszyć w kolejną podróż, spojrzął raz jeszcze na rynek pełen ludzi. W tym momencie poczuł, że choć sam wciąż szukał swojego miejsca, tutaj zostawił coś, co przetrwa przez lata.

Poznaj autora...

Od zawsze pasjonuję się kinematografią – fascynuje mnie nie tylko sposób opowiadania historii na ekranie, ale też cała sztuka budowania jej. W przyszłości chcę zostać scenarzystą. Inspiracje czerpię zarówno z filmów, jak i z literatury, co pomaga mi tworzyć własne opowieści – niedawno wydałem swoją pierwszą książkę. Niedawno skończyłem dwadzieścia lat, a pisanie to dla mnie odkrywanie nowych światów i przygód, które w przyszłości chciałbym przenieść także na duży ekran.



„Pac-man” to tak naprawdę godło autorki, ale komisyjnie uznano, że to świetny tytuł dla tego tekstu. Przed Wami karuzela nieskrępowanej wyobraźni, kreatywności i abstrakcji. Kto przesadnie będzie się tu doszukiwał logiki, nie przebrnie do końca. Dlaczego tak? Cytując autorkę „Żeby był fajniejszy klimat” ;) i chyba o to chodzi w tym opowiadaniu. Jest po prostu fantazyjne, oderwane i lekko szalone. Zwraca uwagę i m.in. tym zasłużyło sobie na III miejsce w konkursie.

Uważajcie na to, z kim dzielicie się bułkami.

Szalonej zabawy!



PAC-MAN

Milena Cielica

Równego dnia czternastoletnia Amelia szła deptakiem po Jeleń Górze. Były wakacje i nastolatka przyjechała do wujków, by uciec od zgiełku Warszawy. Dziś po przebudzeniu ciocia poprosiła dziewczynę, żeby poszła do piekarni po bułki na śniadanie. Amelia przechodziła właśnie koło Szczudlarza, z pachnącym pieczywem w torbie. Zatrzymała się na chwilę przy rzeźbie, by się jej przyjrzeć. Szczudlarz miał delikatny zarost, odziany był w luźne ubrania. Jego twarz była pełna beztroski.

Nagle Amelka zobaczyła coś niezwykłego. Rzeźba mrugnęła! A potem zaczęła poruszać delikatnie rękami. Widząc to, dziewczyna ścisnęła mocno woreczek z bułkami.

Szczudlarz gwałtownie wyrwał swoje ciało ze ściany budynku i stanął chwiejnie na swoich długich, cienkich szczudłach. Przeciągnął się i spojrzał groźnie na dziewczynę. Ta miała na sobie najzwyklejsze, niebieskie jeansy oraz koszulkę na ramiączkach w zielono-czarne paski. Na ramiona opadały jej średniej długości blond włosy, których kolor wpadał w jasny rudy. Twarz miała całą w delikatnych piegach, jednak najbardziej widoczne były one na jej nosie. Nie wyglądała jakoś szczególnie, ale to ona jedna zwróciła uwagę ożywionej rzeźby.

Amelka sama nie wiedziała, czemu od razu nie uciekła, dlaczego nie krzyczała. Stała jakby skamieniała, a w jej czysto niebieskich oczach widać było strach. Miała wrażenie, jakby zamieniła się ze Szczudlarzem i teraz to ona miała zostać nieruchomym pomnikiem.



Po chwili powód całego zamieszania otworzył usta i się odezwał:

– Pamiętam cię – odparł niskim, zachrypniętym głosem.

– Co? Jak to? – zdziwiła się dziewczyna, jeszcze nie do końca wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Pamiętam, gdy byłaś tu ostatnim razem, miałaś wtedy dziesięć lat. Pamiętam też, kiedy byłaś tu mając siedem, pięć i trzy lata. Za każdym razem się przy mnie zatrzymywałaś i przyglądałaś się uważnie. Zawsze mnie to ciekawiło. Każdy przechodzi obok, szybko spogląda, ewentualnie robi mi zdjęcie i odchodzi. – W tym miejscu na chwilę przerwał i zlustrował dziewczynę wzrokiem, po czym ponownie spojrzał jej w oczy. – Ty jesteś inna... – Nagle uśmiechnął się jakoś dziwnie, aż Amelkę przeszły dreszcze. – ...więc postanowiłem, że to ty przetestujesz to, co wymyśliłem.

Szczudlarz wydawał się być bardzo zadowolony ze swojego pomysłu, co tylko spotęgowało niepokój w sercu dziewczyny. Pstryknął palcami i zanim Amelia się obejrzała, byli już w innej scenerii.

Miejsce wydawało się bliźniaczo podobne do Placu Ratuszowego, jednak z oddali słychać było odgłosy tramwajów, a ludzie byli ubrani staroświecko, jak z filmu z lat sześćdziesiątych. Dziewczynę zdziwiło również to, że mimo tłoku, nikt zdawał się nie zauważać jej, ani tym bardziej Szczudlarza. Amelka zaczęła rozglądać się niespokojnie na wszystkie strony i już miała pytać, co się stało, jednak ożywiony pomnik znów ją wyprzedził.

– Cofnąłem czas! O sześćdziesiąt lat!

– Co?! – Dziewczyna była w szoku. – Jak to „cofnałeś”?

– Super, prawda? – Szczudlarz zdawał się nie rozumieć niepokoju Amelki i sam wykazywał wielki entuzjazm dla swojego wyczynu.

– Po co to zrobiłeś?

– Żeby był fajniejszy klimat – odpowiedział, wzruszając ramionami.

– Nie wierzę – Nastolatka złapała się za głowę.

– Emm... Zanim zaczniemy... Czy mógłbym jedną bułkę?

Amelka przez chwilę patrzyła na Szczudlarza w zdumieniu, ale po chwili wyciągnęła niepewnie woreczek z bułkami w stronę osobliwego towarzysza. Ten schylił się i podziękował, wybierając jeden z wypieków. Ugryzł z uśmiechem podarek, po czym powiedział, jednocześnie przeżuwiąc:



– A teraz czas na pierwsze zadanie!

Szczudlarz ponownie pstryknął palcami, jednak tym razem przniósł ich do bardzo przestrzennej, prostokątnej sali z wielkimi oknami po dwóch stronach i podłogą wyłożoną dużymi płytkami. Na płytkach znajdowały się dwa rodzaje symboli i razem tworzyły wielki kwadrat. Pomieszczenie to dziewczyna poznawała z Pałacu Paulinum, w którym była kiedyś z rodzicami.

Amelka została postawiona po jednej stronie sali, a jej nowopoznany „kolega” pomachał jej z drugiego końca. Krzyknął do niej, że musi wybrać odpowiednie płytki, by przyjść do niego. Jeśli wybierze źle, podłoga zapadnie się pod nią i wpadnie do dziesięciometrowej wody, więc lepiej, żeby umiała pływać.

Amelia otworzyła usta ze zdziwienia. Nie dość, że panicznie bała się głębokiej wody, to jeszcze pływała tak sobie. Nie mogła jednak stać tu przez wieki, musiała dokonać wyboru. „Cudownie” – pomyślała sarkastycznie i przyjrzała się płytkom. Jeden symbol przedstawiał błękitny kwiat, a drugi czerwony płomień. Początkowo dziewczyna pomyślała, że może mieć to jakiś związek z porą roku, więc chciała stanąć na płytkę z ogniem. Szybko się jednak powstrzymała, bowiem przypomniała sobie, że gdy kiedyś przyglądała się Szczudlarzowi, jej uwagę przykuł pewien wyblakły symbol na jego policzku, przy skroni. Wtedy wydał jej się nieistotny, teraz jednak ją uratował.

Amelia bez większego zawahania weszła na płytkę z kwiatem. Przez chwilę stała na niej, gotowa na koniec, który ostatecznie nie nadszedł. Dziewczyna odetchnęła z ulgą i przeszła resztę trasy, uważając, by nie zahaczyć stopą o niewłaściwe kafle. Kiedy dotarła do Szczudlarza, zadarła głowę, by spojrzeć mu w twarz. Ten zaśmiał się i popatrzył jej w oczy, po czym wepchnął ostatni kawałek bułki do buzi, otrzepując potem ręce z okruszków.

Nastolatka zdębiała. Dziwił ją fakt, iż Szczudlarz traktował niebezpieczeństwo jak dobrą zabawę. Pewnie dlatego, że to nie on ryzykował.

– Pięknie, cudownie! – wykrzyknął, aż echo odbiło się od ścian pustego pomieszczenia. – A teraz czas na drugie i ostatnie wyzwanie.



Mężczyzna ponownie pstryknął palcami, co spowodowało, że oboje przenieśli się na chmurę przepływającą nad niewielką, porośniętą różną roślinnością wyspą. To, co jako pierwsze przykuło spojrzenie Amelii, przypominało gigantyczny labirynt, po jednej stronie kończący się niemal na skraju wysokiego klifu. Poniżej rozbiły się fale wielkiej wody otaczającej wyspę, nad którymi górowały ogromne i ostre kamienie.

„*Ta woda na pewno jest dużo głębsza, niż ta z wcześniejszego zadania*” – pomyślała dziewczyna.

Nagle Szczudlarz przeniósł ich dwójkę na ziemię, gdzie stanęli tuż przed wejściem do labiryntu. Ściany monumentu były koloru piaskowca i śmiało można było stwierdzić, iż mierzyły ponad dziesięć metrów. Dziewczyna stała, patrząc na to wszystko w ciszy i osłupieniu. Miała wrażenie, że szczęka opadła jej niemal do samej ziemi. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc wyręczył ją Szczudlarz:

– Znasz grę „Pac-man”? – W tym momencie Amelka wiedziała, że to pytanie nie oznacza niczego dobrego.

– Tak – potwierdziła niepewnie.

– No to świetnie. Jak zapewne widzisz, przed nami znajduje się labirynt. Bardzo, bardzo duży labirynt. Jednak spokojnie, ściany labiryntu są naprawdę grube, więc nie jest on aż tak wielki, jak się wydaje. W środku pozostawione są trzy rzeczy, które musisz zdobyć oraz krąży tam paru przeciwników, żeby nie było ci zbyt łatwo. Przeciwnicy wyglądem przypominają trochę duszki z Pac-mana. Duszki nie zabiją cię, ale zabiorą to, co już zdobyłaś i odniosą z powrotem na miejsce – wyjaśniał kolejne zasady Szczudlarz. – W samym środku tego labiryntu znajdują się trzy piedestały, które delikatnie zapadają się pod ciężarem tego, co odnajdziesz i przyniesiesz. Te rzeczy musisz poukładać w odpowiedniej kombinacji, inaczej nie ukończysz zadania i nie wydostaniesz się stamtąd. Możesz wracać do centrum tyle razy, ile chcesz, więc to, co już zbierzesz, możesz tam zostawić i iść po następne. Do serca labiryntu duszki nie mają wstępu, więc nie musisz się już wtedy martwić o znaleziska. Tylko najpierw trzeba te fanty odnaleźć i tam przenieść, a to nie będzie takie łatwe! – Zaśmiał się na koniec, klaskając w dłonie.



Amelka wprost nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. To wszystko wydawało jej się zbyt abstrakcyjne. Przecież poszła tylko kupić bułki! Przypomniła sobie o swojej rodzinie, o cioci i wujku. Przecież nie ma jej już pewnie od godziny, a do piekarni idzie się nie dłużej jak piętnaście minut. Amelia nie miała innego wyjścia, trzeba było postarać się, jak najszybciej ukończyć zadanie.

Przed zagłębieniem się w labirynt, nastolatka dostała od mężczyzny jeszcze worek sportowy na rzeczy, które znajdzie oraz na takie, które mogą przydać się jej w wyzwaniu. Amelka nie miała pojęcia, jak duże będą te, jak to nazwała, „znajdźki” oraz ile czasu spędzi w labiryncie. Do pustego worka spakowała najwięcej kamieni, jak tylko się dało, by, idąc za przykładem Jasia i Małgosi, wyznaczać nimi drogę. Na wierzch spakowała również nieco już wygniecione bułki, bo gdyby je zostawiła, Szczudlarz na pewno wszystkie by pozjadał.

Za pierwszy cel obrała sobie dotarcie do środka labiryntu, potem zamierzała oznaczyć kilka ścieżek, żeby nie zgubić się przy szukaniu. Miała nadzieję, że nie spotka się z zapowiedzianymi duszkami.

– Powodzenia! – wesoło krzyknął za nią Szczudlarz.

– Jesteś bezlitosny! – odrzyknęła Amelka, kiedy wielkie wrota z piaskowca już niemal się za nią zawarły. Raczej dla zasady, niż z oburzenia, bo w rzeczywistości ta przygoda coraz bardziej ją wciągała. Szczerze, to chyba zaczynała lubić Szczudlarza, mimo że naraził ją na tak wielki stres. Gdy wróci, będzie to wspomnienie, którego nigdy już nie zapomni i które pewnie z czasem wyda jej się tylko szalonym snem. Na razie jednak trzeba było wykonać zadanie.

Jedyna droga, jaką teraz mogła wybrać, to zakręt w lewo, ponieważ po drugiej stronie znajdowała się wysoka ściana. Amelia przypomniała sobie o zasadzie prawej strony, która polegała na tym, by gdy tylko jest to możliwe, iść w prawo. Nie wszystkie, ale wiele labiryntów opierało się właśnie na tej zasadzie. Jeżeli jednak Szczudlarz stwierdził, że specjalnie inaczej skonstruuje dróżki, żeby łatwiej się zgubiła, to po dłuższym błędzeniu wróci, zbierając po drodze rozrzucone kamiki i zacznie od początku, skręcając tym razem, kiedy tylko będzie to możliwe, w lewo.



Po dłuższym marszu wszystko wskazywało na to, że zasada prawej strony obowiązywała również w tym labiryncie. Wkrótce, za którymś z kolejnych zakrętów, Amelia znalazła pierwszą „znajdźkę”. Była to różowa kula, mniej więcej wielkości kokosa, która znajdowała w ścienną wnęce, na półeczce wyglądającej jak odcięty filar greckiej kolumny. Dziewczyna prędko schowała znalezisko do worka, po czym zarzuciła worek z powrotem na plecy. Rozejrzała się, trochę przestraszona, czy nie nadciąga żaden z zapowiedzianych duszków. Nikogo nie zauważyła, więc szybko pobiegła szukać centrum, rzucając co jakiś czas za plecy jeden z kamyków.

Nagle, kilkanaście metrów przed sobą, zauważyła, że zza rogu zbliża się pierwszy duszek. Bardzo się wystraszyła, nawet jeśli duszek rzeczywiście wyglądał jak te z popularnej gry – kolorowy i lewitujący. Chyba jedyne, czym różnił się od tych z Pac-mana, było to, że był trójwymiarowy i ponoć nie zabijał gracza.

Na szczęście w tym korytarzu było rozwidlenie i możliwość skrętu w prawo, więc Amelka prędko to wykorzystała. Po kolejnych pięciu minutach męczącego biegu, dziewczynie udało się zgubić przeciwnika. Gdyby nie to, że ten dzień był nieco chłodniejszy, to chyba nie wytrzymałaby takiego tempa. Zatrzymała się i odetchnęła ciężko. Dopiero teraz rozejrzała się uważnie przed sobą.

Na wprost znajdowały się trzy korytarze, z których Amelia wybrała oczywiście prawy i oznaczyła go kamieniem. Nie chcąc ryzykować ponownym spotkaniem z duszkiem, ruszyła bez dalszego postoju przed siebie. Po kilku kolejnych zakrętach udało jej się dotrzeć do centrum. Była z tego powodu naprawdę szczęśliwa. Dobrze, że nie napotkała więcej przeciwników. Miała tylko nadzieję, że w miarę znajdowania kolejnych rzeczy, nie będzie rosła liczba goniących ją duszków.

Dziewczyna rozejrzała się po centrum. Było zbudowane w kształcie okręgu, w środku którego stała niewielka fontanna z najczystszą wodą, jaką kiedykolwiek widziała Amelia. Obok niej wznosiły się, wspomniane wcześniej przez Szczudlarza, piedestały o wyglądzie małych filarów. Na jednym z nich nastolatka postawiła swoją zdobycz. Następnie przemyślała spoconą twarz, tak by woda, która miała kontakt z jej



skórą, nie pobrudziła wody, która wciąż pozostawała w fontannie. Nie do końca pewna, czy to dobry pomysł, napiła się kilka łyków. Smakowała jak woda źródłana, co dziewczyna uznała za dobry znak i napiła się jeszcze trochę.

Potem Amelia usiadła na brzegu fontanny, by odpocząć, a gdy zjadła jedną z bułek, z wielką niechęcią wstała, by szukać reszty „znajdziek”, które pewnie jak tamta zostały poukrywane w ślepych uliczkach. Takich miejsc na pewno było w tym labiryncie na pęczki.

Nie myliła się. Po co najmniej dwóch godzinach poszukiwań i kolejnych czterech spotkaniach z duszkami, które dwa razy zabrały jej zdobycze, dziewczynie wreszcie udało się dotrzeć do momentu, w którym to musiała ustawić na piedestałach znalezione kule w odpowiedniej kombinacji. Różowa, zielona i niebieska, wydawało się, że nie będzie to trudne. Mimo to Amelia zaczęła się mylić ze zmęczenia. Próbowwała wielu ustawień i wydawało się, że żadne nie jest tym właściwym. W końcu udało jej się osiągnąć cel, bowiem wszystkie piedestały opadły, a dziewczyna, wraz ze swoimi rzeczami, przeniosła się do Szczudlarza.

Mężczyzna opalał się na słoneczku, wygodnie rozłożony na leżaku, który pojawił się tam niewiadomo skąd. Kiedy zobaczył Amelkę u swojego boku, z zaskoczenia niemal z niego spadł. Szybko jednak odzyskał rezon i wstał, po czym pstryknięciem palców, niczym dżin, sprawił, że leżak zniknął. Amelka, przyzwyczajona już do tego, co potrafi robić Szczudlarz, nie zdziwiła się za bardzo.

– Gratulacje, jestem pod ogromnym wrażeniem tego, że ci się udało. Dzięki tobie ja przeżyłem coś odmiennego, niż siedzenie w ścianie budynku, a dzięki mnie ty przeżyłaś niezapomnianą przygodę – powiedział entuzjastycznie mężczyzna.

– Tak, dzięki – odparła sarkastycznie dziewczyna, w środku jednak ciesząc się, że przeżyła coś tak niesamowitego.

Szczudlarz pstryknięciem palców ponownie przeniósł ich do Jeleniej Góry z lat sześćdziesiątych.

– Dziękuję ci za wspólnie spędzony czas, świetnie się bawiłem. Proszę, wpadaj częściej – poprosił.



– Ja też dziękuję. Poniekąd było to całkiem ciekawe doświadczenie – odparła ostrożnie Amelia i przeczuwając, co się teraz stanie, pomachała nowemu koledze.

Szczudlarz przeniósł ich do czasów teraźniejszych, tym samym wracając do postaci pomnika w ścianie budynku ratusza. Dziewczyna stała wpatrzona w rzeźbę, odtwarzając w głowie plan tego niesamowitego dnia pełnego niewyobrażalnych zdarzeń. Co wspanialsze, wciąż był poranek! Najwidoczniej podczas ich przygody czas się zatrzymał.

Amelia spojrzała po raz ostatni tego dnia na Szczudlarza. Miała wrażenie, że ten mrugnął do niej, ale może tylko jej się przywidziało. Poszła, radosna jak nigdy dotąd, w stronę domu wujostwa, trzymając w ręku worek znów pełen pachnących, chrupiących bułek. Dziewczyna wiedziała, że już nigdy nie spojrzy na ten pomnik, ani na to miasto, tak samo jak kiedyś, teraz będą się jej one wydawały znacznie bardziej magiczne.

Poznaj autora...

Mam na imię Milena, mam czternaście lat, chodzę do 7 klasy.



Czas na jedyny tekst, w którym pojawił się motyw tak sławnego w naszym mieście Jarmarku Staroci i Osobliwości. Opowiadanie poza podium, z potencjałem, ale z brakiem doprecyzowania niektórych elementów w fabule. Przyjemnie się je czyta, jako że przedstawia dziecięce marzenie niejednego młodego czytelnika.

Ciekawe, jak Ty wykorzystałbyś moc takiego zegara...



FANTASTYCZNIE O JELENIEJ GÓRZE, CZYLI MOJA MAGICZNA PRZYGODA

Godło: JFKEWR777

Miasto powoli budziło się do życia. Słońce zaczęło przebijać się przez zasłony, oświetlając mój pokój. Temperatura wzrastała po orzeźwiająco chłodnej nocy. Dosłyszałem zza ściany sąsiadów szykujących się do górskiej wycieczki. Szybko wstałem, a po zjedzeniu śniadania i wyszykowaniu się, ruszyłem na autobus. Poczuliem ogromną ulgę, gdy do niego wsiadłem, bo tego kwietniowego poranka lato już wyraźnie dawało o sobie znać.

Wysiadłem na Podwalu i ruszyłem w kierunku ratusza. Postanowiłem udać się dziś na spacer po jeleniogórskim rynku, by kupić pamiątkę z Jarmarku Staroci i Osobliwości. Stoiska były rozstawione także przy drodze, ale to na Placu Ratuszowym działo się najwięcej.

Już z daleka usłyszałem targujących się sprzedawców antyków. Z każdej strony dobiegało do mnie mnóstwo odgłosów. Tutaj szczekający owczarek, tu podzwaniające łańcuszki torebki, a tam obok kobieta kłócąca się z córką. Wielu ludzi przechadzało się deptakiem, wiedząc, że i tak nic nie kupią, a część osób była bardzo zadowolona z już dokonanych zakupów. Niektóre dzieci aż skakały z radości na wieść, że rodzice kupią im wymarzoną zabawkę. Tyle się tu działo!

Na jednym ze stoisk dostrzegłem ogromny, stary zegar z kukułką. Miał ponad półtora metra długości. Wykonany był z pięknego drewna, z idealnie wykończonymi ornamentami. Postanowiłem, że bliżej mu się przyjrę.



Antyk sprzedawał mężczyzna wyglądający na osiemdziesiąt lat. Był ubrany w spodnie w piękną, czerwoną kratę oraz starą koszulę w kolorze, którego nie da się precyzyjnie opisać. Wyglądała naprawdę niezwykle. Do tego nosił beret rodem z Paryża. Spytałem go o cenę zegara. Spodziewałem się olbrzymiej sumy, a przedmiot okazał się całkiem niedrogi.

Zapytałem także, dlaczego mężczyzna postanowił sprzedać antyk i skąd go miał. Starzec był bardzo zdziwiony moim zainteresowaniem. Po chwili wyjaśnił, że zegar został przekazany mu przez jego dziadka. Ofiarodawca powiedział wówczas, że moc tego przedmiotu trzeba odkryć, że słyszał o tym pogłoski. Zaraz po tym dziadek przestrzegł jednak, że nie warto wierzyć w takie bzdury, bo on sam niczego wyjątkowego poza pięknem w tym zegarze nigdy nie ujrzał.

Postanowiłem, że zakupię to znalezisko. Zapłaciłem, po czym poprosiłem mężczyznę o przechowanie zegara. Chciałem jeszcze trochę pospacerować.

Przeszedłem naokoło wieży ratusza i zaraz ujrzałem Fontannę Neptuna, a obok niej tłum dzieci wrzucających do wody pieniądze. Dojrzałem również rzeźbę Szczudlarza, który od zawsze mnie przerażał. Tak było i tym razem. Okrążyłem ratusz, obejrzałem przedmioty na kilku stoiskach, po czym wróciłem do starego handlarza. Przekazał mi zegar, z którym ruszyłem na autobus. Przedmiot okazał się wyjątkowo lekki. Bardzo mnie to zaskoczyło.

Na szczęście kierowca szybko przyjechał. Razem ze mną wsiadło mnóstwo obkupionych ludzi. Mieli ze sobą wiele różnych przedmiotów, którym z zainteresowaniem się przyglądałem. Jeden pan postanowił kupić akwarium, inny zestaw krzeseł, ktoś porcelanową figurkę, a pewna kobieta kupiła nawet wypchanego borsuka. Kierowca denerwował się na pasażerów i ruch drogowy.

Wysiadłem na przystanku i ruszyłem w stronę domu. Dochodziło południe, więc na dworze nie dało się wytrzymać z gorąca. Dotarłem do mieszkania cały zziębnięty. Zdecydowałem, że zawieszę zegar w salonie i chwilę później zabrałem się za montowanie go na ścianie. Po skończonej pracy oceniłem efekt. Wyglądał idealnie. Przyjrzałem



mu się uważniej i dopiero teraz dostrzegłem na krawędziach pismo podobne do runicznego. Zaciekało mnie to, ale nie znałem tych znaków. Sięgnąłem do jednej z moich książek popularnonaukowych o Skandynawii, ale znaki różniły się od tych używanych przez wróżbi-tów Wikingów.

Na razie wzruszyłem ramionami i postanowiłem odpocząć, na dal-sze poszukiwania przyjdzie czas później. Planowałem dziś przeczyta-nie ostatniej części cyklu książek o Harrym Potterze, już niewiele roz-działów mi zostało, a byłem ciekawy zakończenia.

Usiadłem w fotelu i oddałem się lekturze.

Zakończenie serii bardzo mnie zaskoczyło. Zachęciło mnie to do ponownego obejrzenia znaków na zegarze, przy czym cały czas my-slałem o zakończeniu powieści. Nagle, ku mojemu przerażeniu, zegar wybił godzinę piętnastą. Kukułka wyskoczyła zza drewnianych drzwiczek. Okazała się pięknym, porcelanowym ptaszkiem o jasnożółtych oczach. Wpatrywałem się w nią długi czas, aż nagle moim oczom uka-zał się małeńki przycisk na brzuszku kukułki. Wcisnąłem go, nie my-śląc o konsekwencjach.

Wtem poczułem, że moje ciało skręca się, a ja nie mam na to żad-nego wpływu. Ku mojemu przerażeniu, nie czułem swoich rąk ani nóg! Mój koszmar dopiero się zaczynał. Choć czucie w ciele wróciło, byłem otoczony ciemnością. Gdy zrobiłem kilka kroków w przód, do-strzegłem przebląski bladego światła. Okazało się, że wylądowałem w wielkiej jaskini, a przede mną stał ogromny troll. Miał jakieś pięć metrów wzrostu i wyglądał na mocno rozwścieczonego. Ryczał, wy-machując siekierą.

Zdecydowałem się na ucieczkę. Pobieglem w stronę światła, na nie-szczęście stwór zaczął mnie gonić! Gdy wybiegłem z jaskini, uświadomiłem sobie, że tak właściwie, to nie wiem, gdzie jestem. Odwróciłem się, a moim oczom ukazał się znajomy widok – to była Śnieżka, tylko bez charakterystycznego obserwatorium.

Nie było czasu na dłuższe przypatrywanie się. Troll, choć nie-co niezdarny, cały czas mnie gonił. Zacząłem biec, najszybciej jak potrafiłem. Przy kolejnej jaskini zobaczyłem człowieka. Do środka



zmierzał wysoki, brodaty mężczyzna łudzaco podobny do Hagrida – bohatera książki, którą jeszcze przed chwilą czytałem. Z lektury zapamiętałem, że udał się właśnie w rejon Izerów i Karkonoszy, aby przekonać trolle i gobliny do walki przeciwko Voldemortowi. Teraz zaczynałem już rozumieć.

Pobiegłem w kierunku wysokiego brodacza. Gdy spojrzałem za siebie, okazało się, że troll zaniechał podążania za mną, bo ścieżka, którą wybrałem była zbyt wąska. Odetchnąłem z ulgą i przywitałem się:

– Witam, wydaje mi się pan do kogoś podobny. W jakim celu pan tu przybył? – zapytałem, by upewnić się, co do moich przypuszczeń.

– Mam na imię Hagrid. Chce przekonać trolle do walki po naszej stronie przeciwko naszemu wrogowi i Śmierciożercom – rzekł mężczyzna przyjaznym głosem. – Cholibka, ale ty chyba nie trzymasz z Sam-Wiesz-Kim?

– Nie, jestem Mikołaj i stoję po waszej stronie. Chętnie pomogę ci w przekonaniu trolli.

Hagrid zgodził się, a ja odetchnąłem z ulgą, bo z nim ta przygoda będzie zdecydowanie bezpieczniejsza.

Weszliśmy do jaskini, jak się okazało, należała ona do króla trolli i goblinów. Gdy do niego dotarliśmy, moim oczom ukazała się obrzydliwa postać, jeszcze większa od trolla, od którego wcześniej uciekałem. Ten był przy tym o wiele bardziej przerażający. Hagrid bez cienia lęku omówił z nim korzyści z dołączenia do stwożeń walczących przeciwko Śmierciożercom.

Nagle spoza jaskini dobiegł straszliwy głos. Do środka wleciały szybko poruszające się, czarne smugi. Hagrid od razu wiedział, co się dzieje, ja tylko się tego domyślałem i dreszcz przeszedł mi po plecach. Hagrid rozkazał, żebym jak najszybciej uciekał, a jako że nie wiedziałem nic o magii, prędko go posłuchałem.

Obserwowałem walkę z ukrycia. Udało mi się rozpoznać twarze Śmierciożerców, w tym Lucjusza Malfoya. Kątem oka dostrzegłem, że rzuca właśnie zaklęcie śmierci na króla trollów. Aż zatrząsnąłem się z przerażenia. Hagrid wrzasnął rozpaczliwie. Naraz zobaczyłem czarodziejów wlatujących do obszernej jaskini na swoich miotłach.



Przeczuwałem, że zaraz rozpęta się tu piekło, więc wycofałem się na zewnątrz, podczas gdy czarodzieje lądowali, rzucając zaklęcia na przeciwników.

Gdy moje oczy przyzwyczaiły się do światła słońca, uspokoił mnie nieco widok Śnieżki. Schowałem się w bezpiecznej odległości od wejścia, nie martwiąc się zanedto. Z lektury wiedziałem, że czarodzieje przeżyją to starcie. Po kilkunastu minutach Śmierciożercy wylecieli z jaskini, a chwilę później wyszedł z niej także wysoki mężczyzna, a za nim wylecieli pozostali członkowie Zakonu Feniksa. Podszedłem do nich i ponownie się przedstawiłem. Hagrid wyjaśnił mi, co tak właściwie się przed chwilą zdarzyło. Uświadomił mi o niebezpieczeństwie, jakie czyhało na nas po śmierci króla goblinów.

– Przekonanie pojedynczych trolli i goblinów będzie trudne – stwierdził.

– Myślę, że wspólnie damy radę ich namówić – odpowiedziałem. – Wystarczy chociaż kilku olbrzymów do pomocy – dodałem, po czym podsunąłem mężczyźnie pewien pomysł.

Hagrid postanowił posłuchać mojej rady. Dzięki temu nakłonił wielkoluda, który przedtem mnie gonił, do pomocy. Wyjaśnił korzyści płynące z udziału w wojnie przeciwko Voldemortowi i tym sposobem udało mu się przekonać całkiem sporą grupę stworzeń.

Byłem naprawdę dumny z mojego pomysłu. Teraz stwory wspólnie szykowały się, by wyruszyć do Wielkiej Brytanii. Niestety, razem z nimi musiał wracać i Hagrid. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o życiu w magicznym świecie, co było naprawdę ekscytujące. Mężczyzna opowiedział mi także o tym, dlaczego to właśnie w Jeleniej Górze postanowił wykonać swoją misję. Mówił, że wędrując karkonoskimi przełęczami, wypatrzył osadę, która później okazała się ojczyzną wielu trolli. Najdłużej szukał jaskini, w której znajdował się ich władca, ale w końcu mu się to udało.

Na koniec poprosiłem Hagrida o to, by pozdrowił Harry'ego Pottera i jego przyjaciół. Bardzo cieszyłem się z poznania tego łagodnego wielkoluda i byłem dumny, że mogłem mu nieco pomóc. Czułem, że w pewien sposób przyczyniłem się do pokonania Voldemorta.



Po pożegnaniu Hagrida zdecydowałem się na powrót do domu. Na szczęście dobrze zapamiętałem pierwszą jaskinię, do której przeniósł mnie niezwykle zegar. Ruszyłem w miejsce teleportacji, licząc na to, że dzięki temu wrócę do swojego mieszkania. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że poznałem ulubionego bohatera czytanej przeze mnie lektury.

Stałem w ciemności i pomyślałem intensywnie o moim salonie. Nie trwało długo, gdy poczułem skręcenie i na powrót znalazłem się w znajomym wnętrzu. Znow w Jeleniej Górze, w upalny, wiosenny dzień.

Usiadłem ciężko w fotelu i spojrzałem na okładkę ulubionej książki. Dzisiaj tak wiele się wydarzyło, a zaczęło się od tego, że poszedłem na spacer do centrum miasta. Poznałem bohatera ulubionej książki, byłem świadkiem zabicia króla trolli i goblinów, z którym jeszcze chwilę wcześniej rozmawiałem oraz widziałem część emocjonującej walki. Myślałem też o mocy zegara, który umożliwił mi przeniesienie się w centrum wydarzeń ulubionej lektury. To było naprawdę niesamowite! Nie spodziewałem się, że zwykły antyk sprawi, że przeżyję przygodę życia. Na końcu wspomniałem także mężczyznę, który mając ten niezwykle zegar przez tak wiele lat, nie odkrył jego mocy. Trochę mu współczułem, ponieważ wyglądał na dość zmęczonego i znudzonego życiem. Może ten dar nie był po prostu przeznaczony dla niego, a może nie zachwyciłby go tak jak mnie.

Nikomu nie zdradziłem tajemnicy starego zegara, strzegąc tego sekretu przez kolejne lata. Hagrid nie był jedynym bohaterem, którego poznałem, dzięki mocy antyku. Spotkałem Małego Księcia i lisa, którzy uświadomili mi, co jest w życiu najważniejsze. Bilbo Baggins ugościł mnie w swojej norze i pokazał pierścień, który umożliwiał mu stawanie się niewidzialnym, nie mając przy tym, pojęcia, jak potężny artefakt ma w dłoniach. Jesse oprowadził mnie po Terabithii, a Wacław i Klara pokazali mi piękny, osiemnastowieczny dworek.

Dzięki kupnie pięknego przedmiotu, podczas zwykłego miejskiego spaceru, zyskałem możliwość przenoszenia się do miejsca akcji najciekawszych dla mnie lektur. Ta historia ukazała mi, że nawet z pozoru małoważne, spontaniczne decyzje mogą zmienić nasze życie.



Poznaj autora...

Mam czternaście lat. Interesuję się lotnictwem. Uwierbiaam podrózo-
wać i jeździć na nartach.





Pewnie nieraz natknęliście się na książki, w których występowali jeźdźcy smoków. Dlaczego nie napisać opowiadania o jeźdźcach jeleni? II miejsce w młodszej kategorii otrzymał właśnie taki utwór.

Naturalnie i lekko wprowadzone nawiązania do okolicznych miejsc, w tym Gryfowa Śląskiego, bardzo się jury spodobały. Poza magicznymi wątkami, tylko imiona silnie dają odczuć, że to jednak mocno alternatywna wersja rzeczywistości. Mi w uszach wciąż jeszcze brzmi jeden szczególny feminatyw – „jeźdźczynią”, język polski zawiera w sobie doprawdy osobliwe twory ;).

Opowiadanie inspirowane, ale to nie było zabronione, bo ważne, że zrodziło się w wyobraźni młodej autorki, a słowne konstrukcje od początku do końca zostały przez nią skrzętnie zbudowane.

Ruszajmy więc razem. Na Górę Szybowcową!



KWADRANT JEŹDŹCÓW JELENI

Hanna Kijowska

Siedziałam na kamiennej posadzce w pokoju i próbowałam zignorować kroki mojej matki, dochodzące do mnie z korytarza. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, a ja zacisnęłam powieki, by nie skupiać się na jej słowach.

– Mirabelle! Tu jesteś, wszędzie cię szukałam. Co robisz? – stanęła za mną, wspierając ręce na biodrach.

– Pakuję się – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, wsuwając do torby kolejne sztuki ubrań.

O tak, nadszedł w końcu ten dzień. Wyjeżdżałam na moją wymarzoną uczelnię i to nie było jakąś. To była Uczelnia Jeźdźców. Miałam stać się jeźdźczynią jeleni, tak samo jak moja starsza siostra Gloria. Ona, co prawda, skończyła szkołę ponad rok temu, ale to nie zachwiało moim marzeniem. Chociaż nie od początku chciałam być jak ona i mama.

Kiedyś zamierzałam szkolić się na skrybę, ponieważ uwielbiałam literaturę i historię. Jednak kiedy Gloria poszła do szkoły i zaczęła nam opowiadać o tym, czego się tam uczyła, zmieniłam swoje nastawienie. Ona i matka mnie zainspirowały, zmotywowały do działania, a ja chciałam, żeby były ze mnie dumne. I choć wiedziałam, że matka nigdy nie będzie na mnie patrzeć z takim uznaniem jak na Glorię, miałam zamiar przynajmniej spróbować.

– Jesteś pewna, że dasz sobie tam radę? A co, jeśli żaden jeleni cię nie wybierze? – spytała z cieniem niepokoju matka.



– Nie wiem – odparłam i wzruszyłam ramionami. – Od kiedy masz takie wątpliwości? Nie tego dla mnie chciałaś? – dopytałam, unosząc jedną brew.

– Wybacz. Kochanie, masz osiemnaście lat, jesteś już dorosła. Na pewno dasz sobie radę. Tak lepiej, prawda? – powiedziała z uśmiechem i wyszła z pokoju, rzucając za sobą tylko: – Za dziesięć minut zjedź na dół, już gotowa.

Wiedziałam, że mam mało czasu, więc pospiesznie zapięłam torbę i rzuciwszy ostatnie spojrzenie na swój pokój, wybiegłam na dwór z torbą na ramieniu. Nasz dom znajdował się w Cieplicach, więc gdy znalazłam się na zewnątrz, do moich uszu dobiegł dźwięk rozmów sąsiadów i innych ludzi przechadzających się ulicami oraz podziwiających widok na zamek Chojnik i panoramę Karkonoszy.

– Aż nie chcę mi się wierzyć, że moja młodsza siostrzyczka jedzie do jednej z najniebezpieczniejszych uczelni w całym królestwie – stwierdziła Gloria, unosząc mnie jak piórko i obracając wokół. Gdy już mnie postawiła, odpowiedziałam jej kuksańcem w bok.

– Czemu uważasz, że ta uczelnia jest taka niebezpieczna? – zapytałam.

– Bo sama przeżyłam tam cały rok i wiem, co cię tam czeka. Dobrze wiesz, że to nie miejsce dla miłośników książek i ciepłych herbatek. Tam zrobią z ciebie wojowniczkę. – Gloria uśmiechnęła się, zadzierając hardo głowę.

– Wiem, wiem. Jedźmy już, proszę. Bardzo chcę zobaczyć, czy tamten dziedziniec naprawdę jest taki ogromny, jak opowiadałaś – stwierdziłam, idąc w stronę Deigha, jelenia Glorii. Zwierzak był wyższy ode mnie o co najmniej głowę, a łącznie z porożem o jakieś cztery.

Jeleń siostry miał nas zawieźć do Akademii, ponieważ na piechotę byłoby za daleko. Zresztą Deigh był bardzo szybki, to była jego szczególna zdolność. Warto wspomnieć, że jelenie są dla nas tak wyjątkowe, bo posiadają magiczne moce, a każda z nich jest unikatowa. Te dary potrafią przekazywać swoim jeźdźcom, z którymi zechcą utworzyć więź na całe życie. Więź ta jest tak mocna, że między jeleniem a jeźdźcą występuje połączenie umysłów, dzięki czemu oboje mogą porozu-



miewać się poprzez myśli. Właśnie teraz Gloria musiała za coś skarcić w myślach Deigha, bo ten parsknął niezadowolony i wywrócił oczami.

– Czyli jedziemy? – zapytała siostra. Potwierdziłam kiwnięciem z bijącym głośno sercem. Wiedziałam, że właśnie zaczęłam podróż bez możliwości zawrócenia. To właśnie było w tym wszystkim takie ekscytujące.

Gloria uniosła dumnie kąciki ust i wskoczyła z gracją na swojego jelenia. Mi sprawiło to więcej trudności, więc gdy znalazłam się już na grzbiecie zwierzęcia, mocno objęłam siostrę w pasie, by nie spaść. Ruszyliśmy.

Przejażdżka nie trwała dłużej niż piętnaście minut, więc gdy dojechałyśmy na miejsce, nie czułam zmęczenia, tylko czystą ekscytację. Stojąc u podnóża Góry Szybowcowej, na której znajdowała się uczelnia, po raz ostatni wyściskałam Głorię i ruszyłam w stronę umiejscowionego znacznie wyżej budynku, by się zapisać.

W zeszłym miesiącu przesłam egzamin teoretyczny i praktyczny, który zdałam jako jedna z nielicznych. Pamiętam, jak się wtedy cieszyłam. W tym roku do akademii przyjęto tylko stu kadetów na ponad trzystu chętnych. Teraz, gdy stałam już pod wielkim gmachem Akademii, a wokół mnie gromadzili się inni kadeci, byłam mocno zestresowana, ale również podekscytowana.

Stworzę więc z jakimś jeleniem – powtarzałam sobie w głowie – i będę bronić naszego Królestwa wraz z innymi. To dodało mi trochę otuchy i ruszyłam w stronę kamiennych murów. Było to na obrzeżach Królestwa Jeleniej Góry, na pagórkowatym terenie zwanym Szybowcówką, z którego rozciągał się wspaniały widok na całe pasmo Karkonoszy, Rudaw Janowickich, Gór Izerskich i na Kotlinę Jeleniogórską. Widać stamtąd było też to, jak słońce odbija się w rozległej rzece Bóbr, przy której chodziły stada jelenie, chcących napić się wody czy mieszkańcy, nabierający jej do mis i bukłaków. Nasze Królestwo umieszczone było w kotlinie, która mieniła się barwami kolorowych dachów i kamieniczek, a główne miasto tętniło życiem. Na Placu Ratuszowym ludzie ze sobą rozmawiali, śmiali się i choć byłam daleko od rynku, nawet tutaj mogłam usłyszeć odległe echo tego gwaru.



Przeniosłam wzrok na Karkonosze, gdzie znajdowało się kilka wież obronnych. Patrole w nich pełnili dorośli, doświadczeni jeźdźcy. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych punktów była siedziba na Śnieżce, najwyższym szczycie Karkonoszy. Uśmiechnęłam się do siebie, myśląc o tym, że kiedyś może sama będę tam stacjonować.

Przeszłam przez otwartą bramę i stanęłam w kolejce liczącej kilkanaście osób, by zapisać się jako kadetka. Nagle zza pleców usłyszałam wysoki głos:

– Przepraszam, czy ty nie jesteś przypadkiem siostrą Glorii Sudet? Wyglądacie bardzo podobnie...

Odwrociłam się w stronę wysokiej, czarnowłosej dziewczyny. No tak, mogłam przypuszczać, że ktoś mnie rozpozna. Gloria sporo się przysłużyła naszemu Królestwu w ciągu ostatnich bitew z Królestwem Gryfów. Nie była tylko moją inspiracją, lecz autorytetem także dla wielu innych dziewczyn o podobnych do moich marzeniach.

Uśmiechnęłam się serdecznie do nieznajomej i przedstawiliśmy się sobie. Dziewczyna spojrzała na mnie niebieskimi, dużymi oczami i uściśnięłyśmy sobie dłonie, szczerząc się do siebie.

Zapisałyśmy swoje nazwiska na liście, a po kilku minutach, gdy już wszyscy kadeci zebrali się na dziedzińcu wokół kamiennej mównicy, na środek wyszedł dyrektor szkoły oraz kilku innych profesorów. Szepty i wszelkie rozmowy natychmiast ucichły, gdy dyrektor zaczął mówić:

– Witajcie, kadeci! Nazywam się generał William Sumah i jestem tu dyrektorem. – Tu lekko się skłonił. – Gratuluję wam wszystkim zdania egzaminów wstępnych. Wiedziecie, że jesteście w mniejszości, której się to udało. Za chwilę profesorowie przełożą wam wstępne instrukcje i omówią zasady panujące w Akademii. Jutro o świcie wszyscy zostaniecie przywołani na Wielki Wybór, podczas którego jelenie zwiążą się z wami. Ostrzegam, że jeleni chętnych do wytworzenia więzi jest siedemdziesiąt osiem, a was sto. Ci, którzy nie wytworzą więzi z żadnym ze zwierząt, będą mieli wybór powtarzania całej rekrutacji lub zrezygnowania z Akademii. Dziękuję wszystkim, teraz oddam głos profesorom.



Po tych słowach nastąpiły oklaski, a następnie głucha cisza, gdy jeden z profesorów wszedł na podest i przemówił do nas:

– Dzień dobry wszystkim, mamy zaszczyt powitać was w naszej Akademii – Kwadrancie Jeźdźców. Jak wiecie, decyzja podjęcia nauki tutaj, zmieni na zawsze wasze życie. Wiele zajęć będzie wyglądało tutaj zupełnie inaczej, niż na normalnych studiach, ale mam nadzieję, że jesteście tego świadomi. Ostrzegam, że gdy ktoś złamie którąś z zasad naszej uczelni, zostanie surowo ukarany lub wydalony w trybie natychmiastowym. Kodeks naszej Akademii można wypożyczyć w bibliotece na czwartym piętrze. Podstawowe zasady zostały wam już przedstawione w zeszłym miesiącu, po zdanych egzaminach, więc nie zamierzam ich powtarzać. – Starszy mężczyzna przerwał i spojrzał na boki, gdzie inni nauczyciele rozdawali kadetom wyprawki z książkami oraz pliki papierów z najważniejszymi informacjami. – To tyle na dzisiaj. Dziękuję – zakończył i zszedł z podestu.

Akurat obok mnie stała wysoka, ładna kobieta z naręczem wyprawek, zapewne nauczycielka. Gdy wręczyła mi jedną, uprzejmie podziękowałam. Od razu otworzyłam pierwszą stronę niewielkiego notesu, na której wpisane było moje imię i nazwisko oraz dane mojej współlokatorki, którą była poznana dzisiaj... Lara! Uśmiechnęłam się automatycznie i spojrzałam na dziewczynę, która też szczerzyła się w moją stronę.

– Wydaje mi się, że los sam chciał, żebyśmy zostały przyjaciółkami!
– wypaliła podekscytowana.

– Jak widać tak. Chodźmy zobaczyć nasz nowy pokój – postanowiłam, patrząc w notes i dodałam: – Z tego, co jest tu napisane, numer naszego pokoju to 222, to na drugim piętrze.

We dwie dołączyłyśmy do tłumu innych kadetów, również idących w stronę budynku akademika. Gdy znalazłyśmy już nasz nowy pokój i zamknęłyśmy drzwi, padłyśmy obie na łóżka. Pokoik był mały, z jednym oknem, dwoma łózkami, dwoma małymi biurkami i szafą, ale wystarczający, jak na moje potrzeby.

Do późna rozmawiałam z Larą i bliżej poznawałyśmy się, myśląc już o jutrzejszym Wielkim Wyborze. Wiedziałyśmy już, że jeleni jest mniej



niż kadetów, ale na razie myślałyśmy pozytywnie. Czułam, że serce cały czas bije mi szybciej, a w głowie kotłowały mi się różne myśli dotyczące zarówno jutra, jak i najbliższego roku, który miałam tu spędzić. Gdy w końcu zasnęłam, spałam niespokojnie i co jakiś czas się budziłam, starając się nie dopuszczać do siebie negatywnych myśli. Na szczęście rano skutecznie nas obudzono, waląc z całych sił w drzwi pokoju.

Gdy usłyszałam ten dźwięk, od razu usiadłam na łóżku i uśmiechnęłam się szeroko. To był TEN dzień. Dzień Wielkiego Wyboru. Spojrzałam na moja współlokatorkę, która również nie spała. Zerwałam się z łóżka i pospiesznie ubrałam w mój skórzany strój jeździecki. Zasznurowałam wysokie buty, spłotłam szybko dwa dobierane warkocze, po czym razem z Larą wybiegłyśmy z pokoju.

Udałyśmy się na dziedziniec, gdzie według wskazówek z kodeksu powinniśmy się wszyscy spotkać. Faktycznie, stała tam już spora grupa kadetów, a z różnych wyjść nadciągali nowi.

Na samym środku, na podeście, godnie wyprostowany czekał dyrektor. Gdy na dziedzińcu zapanowała w końcu cisza, zaczął poranną przemowę:

– Dzień dobry wszystkim. Za godzinę odbędzie się Wielki Wybór. Na tę specjalną okazję udamy się na błonia za Akademią. Tam czekają już na was jelenie. Mam nadzieję, że wczoraj uważnie przeczytaliście kodeks i wskazówki dotyczące Wielkiego Wyboru. Przydadzą się wam one dzisiaj. Teraz zapraszam na śniadanie do głównej jadalni, a po nim spotkamy się wszyscy na błoniach. Żadnych spóźnień, widzimy się równo za godzinę.

Gdy dyrektor skończył mówić, wszyscy zaczęli się powoli rozchodzić. Spojrzałam ukradkiem na dwójkę wysokich chłopaków, którzy już wcześniej wpadli mi w oko. Jeden z nich miał jasną karnację, piegi na twarzy i dłuższe blond włosy, a drugi trochę bardziej opaloną skórę i ciemnobrązowe, krótkie włosy z grzywką opadającą mu na boki twarzy. Szybko odwróciłam od nich wzrok, skupiając się na Larze, która ciągnęła mnie teraz za rękę, prowadząc w stronę jednego z wyjść.

Po wejściu na stołówkę, stanęłyśmy w kolejce po śniadanie. Sama nie wzięłam za wiele, bałam się, że z przyływu różnych emocji wszyst-



ko zwróć. Zabrałyśmy swoje tace i rozpoczęłyśmy poszukiwania stolika. Znalazłyśmy chyba ostatni wolny, umieszczony w samym rogu sali, tuż przy oknie. Zajęłyśmy miejsca i kontynuowałyśmy naszą rozmowę, gdy nagle usłyszałyśmy męski głos:

– Hej, możemy się dosiąść?

Podniosłam głowę znad swojego talerza, by ujrzeć dwójkę tych samych chłopaków, którzy zwrócili moją uwagę na dziedzińcu. Blondyn uśmiechał się do nas przyjaźnie, oczekując odpowiedzi na swoje pytanie. Na chwilę odebrało mi mowę, więc byłam wdzięczna, że to Lara się odezwała.

– Jasne, siadajcie – odpowiedziała moja współlokatorka, widząc, że dwaj kadeci mieliby problem, by znaleźć dla siebie inne miejsca.

– Dzięki. Jestem Liam, a to jest Chris – przedstawił się blondyn. Odchyliłam się lekko na krześle, by lepiej im się przyjrzeć.

Liam miał przyjazny wyraz twarzy i szare, błyszczące oczy. Chris natomiast miał tęczówki koloru kawy, które ładnie kontrastowały z jego charakterystycznym przecięciem na brwi. Ta drobna blizna nadawała jego twarzy nieco zawadiacki wygląd.

Ja i Lara również się przedstawiłyśmy. Cieszyłam się na poznanie nowych osób.

– Jak tam wasze nastawienia przed dzisiejszym Wielkim Wyborem? – spytałam szczerze zaciekawiona.

Tym razem odpowiedział Chris:

– Raczej pozytywnie, jeśli można to tak określić – odparł, uśmiechając się lekko.

Odpowiedziałam mu tym samym, podrzucając zaraz kolejny temat. Gdy skończyliśmy wszyscy śniadanie i trochę lepiej się poznaliśmy, wyszliśmy na błonia, skąd rozpościerał się widok na całe Królestwo.

Do wyboru zostało jeszcze dziesięć minut, ale już można było dostrzec w oddali pojedyncze jelenie, które chętne były do związania się z któryms z jeźdźców. Na obrzeżach błoni rozstawiane były podesty, na których mieli stanąć profesorowie i dyrektor.

W czasie oczekiwania usiedliśmy w czwórkę na trawie i delektowaliśmy się ciepłym, wrześniowym wietrzykiem oraz promieniami



porannego słońca. Liście na drzewach miały w większości czerwone, miejscami już brązowe odcienie, co pasowało do sierści coraz większej liczby jeleni, zmierzających w naszą stronę. Zwierzęta były wysokie i dostojnie zbudowane, wszystkie dumnie wypinały białe piersi, a samce prezentowały swoje wielkie poroża, mieniające się w złocistych słonecznych przeblaskach.

Ostatni już kadeci wchodzili na teren łąki. Kadra nauczycielska Akademii wyszła naprzeciw jeleniom. To był wspaniały, pełen dostojeństwa obrazek, gdy dyrektor i najwyższy z jeleni, zapewne wódz stada, kłaniają się sobie i tym samym oficjalnie rozpoczynają Wielki Wybór.

– Niech oto rozpocznie się Wielki Wybór! Zaraz wszyscy dostaniecie czas, by przejść się po błoniach i spróbować wytworzyć więź z którymś z przybyłych jeleni. Pamiętajcie jednak, że to jeleni musi wybrać was, a nie odwrotnie. W przeciwnym razie znokautuje was, jeśli zauważy w was człowieka niegodnego miana jeźdźcy. Skoro wszystko już jasne, zaczynamy!

Dyrektor klasnął w dłonie wyraźnie podekscytowany wydarzeniem. Kadeci podnieśli się z trawy i rozproszyli po całym terenie. My nadal trzymaliśmy się w czwórce, czując się razem nieco pewniej.

– Myślisz, że to poroże jest w stanie zabić człowieka? – spytała cicho Lara, wskazując na najbliższego samca.

– Jeśli im podpadniesz, to pewnie tak – odpowiedziałam równie zestresowana.

Chłopcy szli obok nas w milczeniu, przypatrując się innym kadetom i jeleniom. Po kilku chwilach wzięłam głęboki oddech i oddzieliłam się od pozostałej trójki, by lepiej przyjrzeć się zwierzętom. Nagle w oczy rzucił mi się malutki jelonek, nie miał nawet jeszcze różków i sięgał mi do pasa. Obok niego stała trójka barczystych chłopaków. Straszliwy biedny jelonek, który próbował uciekać w głąb lasu. Serce mi zamarło, gdy ujrzałam, że jeden z dręczycieli macha w powietrzu sztyletem. Natychmiast podbiegłam bliżej i skryłam się za jednym z drzew, próbując coś wymyślić.

Malucha nie powinno tu być, ale to jeszcze nie powód, żeby go zastraszać. Wiedziałam jednak, że nie mam najmniejszych szans



w walce z trójką umięśnionych i z pewnością silniejszych ode mnie, mężczyzn, więc musiałam się wykazać sprytem. Zauważyłam spory konar leżący tuż obok mojej stopy, więc podniosłam go i rzuciłam w stronę chłopaków.

Na dźwięk uderzenia i szelestu liści, dręczyciele odwrócili się w moją stronę, jednocześnie spuszczać z oczu bezradne zwierzę, które teraz miało okazję uciec.

Gdy tamci to spostrzegli, jeden z nich prychnął z pogardą i splunął na ziemię w moją stronę.

– Patrzcie, znalazła się obrończyni zwierząt – prychnął.

Byli wściekli, widziałam to w ich oczach. Najrozsądniejszym wyjściem byłaby teraz ucieczka, ale ja byłam zbyt oburzona, by zwyczajnie zwać.

– Nie macie prawa krzywdzić zwierząt, a tym bardziej jeleni – syknęłam rozwścieczona.

– W takim razie skrzywdzimy ciebie, smarkulo – po tych słowach chłopak ze sztyletem w dłoni rzucił się na mnie z ostrzem wycelowanym w moją stronę. Przeraziłam się na ten widok, więc zrobiłam szybki unik w bok, próbując przypomnieć sobie cokolwiek z moich ostatnich lekcji samoobrony.

Chłopak warknął i ponowił atak. Odskokczyłam w bok, uważając jednocześnie na jego kolegów, którzy postanowili dołączyć do tej nierównej walki. Jeden z nich uderzył mnie pięścią w ramię, a ja odpowiedziałam mu mocnym kopniakiem w brzuch. Nagle poczułam, że ktoś łapie mnie od tyłu za szyję i ściska z całych sił. Spróbowałam kopnąć go piętą w piszczel, ale na próżno.

Kiedy zaczęło mi już brakować powietrza, coś mną szarpnęło i upadłam na ziemię. Rozmasowałam obolałą szyję, po czym podniosłam wzrok i ujrzałam... potężnego jelenia! I to nie było kogo, tylko samego przywódcę stada. Zwierzę było wyższe od wszystkich widzianych przeze mnie dotąd jeleni. Miało kasztanową sierść oraz biały brzuch i pierś.

Przywódca stał bokiem do mnie, patrząc złowrogo na trzech chłopaków, którzy mnie zaatakowali. Oni tak się go przestraszyli, że niemal od razu poderwali się i zaczęli uciekać. Gdy już zniknęli z pola



widzenia, przeniosłam wzrok na tego, który mnie uratował. On również obrócił głowę w moją stronę.

– *Jesteś cała?* – usłyszałam niski, lekko chrapliwy głos. Ale pysk jelenia się przy tym nie poruszył. On powiedział to do mnie w myślach.

Potrząsnęłam szybko głową, myśląc, że to tylko złudzenie. Wstałam z ziemi. Głos odezwał się znowu:

– *Zapytałem, czy nic Ci się nie stało.* – Tym razem głos wydawał się bardziej wyraźny.

Spojrzałam na zwierzę.

– Ty się ze mną... komunikujesz? – spytałam z niedowierzaniem.

Zwierzę obróciło ku mnie głowę:

– *Skoro mnie słyszysz, to tak, komunikuję się z Tobą.*

Otworzyłam oczy szeroko, niedowierzając.

– Czy Ty mnie wybrałeś? – próbowałam się dowiedzieć.

Jeleń krótko kiwnął głową.

– *Brawo, rozgryzłaś to. A teraz wskakuj, bo musimy jechać.*

– Gdzie jechać? – nie wiedziałam, o co mu chodzi.

Jeleń, ewidentnie już zirytowany, pochylił się lekko do przodu, bym mogła wsiąść na jego grzbiet. Po chwili zawahania w końcu wdrapałam się na zwierzę.

– *Musisz poćwiczyć wsiadanie. Strasznie się wierzisz* – mruknął cicho, po czym skoczył wysoko w górę i zaczął biec przez gęsty las. Mocniej chwyciłam się sierści na jego karku, by nie spaść, na co jeleni rzucił pod nosem:

– *I nad równowagą też. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Mirabelle.*

Podskoczyłam lekko, gdy usłyszałam moje imię.

– *Skąd znasz moje imię?* – spytałam w myślach, bo okazało się, że i ja mogę się z nim komunikować przez umysł.

Jeleń zwolnił tempa, wybiegając z lasu na błonia.

– *Jelenie znają imiona jeźdźców, z którymi chcą stworzyć więź. Dla tego powinnaś też wiedzieć, że moje imię to Dairn.*

W tym samym momencie zatrzymaliśmy się przy pozostałej trójce poznanych przeze mnie kadetów. Odetchnęłam z ulgą, gdy zobaczyłam, że przy każdym z nich stoi jeleni. Obok Lary stała wysoka łania



o lekko rudawej sierści, Liam siedział na niewiele wyższym od łani jeleniu o jasnobrązowej sierści i okazałym porożu, a Chris głąskał za uchem wysoką, kasztanową łanię.

Nie wiem czemu, ale ten ostatni widok wydał mi się wyjątkowo uroczy i słodki. Szybko potrząsnęłam głową i skarciłam się za to w myślach. To nie czas, by myśleć o takich rzeczach. Nagle w mojej głowie odezwał się głos:

– *Nie mów, że on ci się podoba.*

No tak, zapomniałam, że teraz mogę się pożegnać z prywatnością.

– Wcale nie – odburknęłam, przenosząc wzrok na przyjaciółkę. Zsiadłam z grzbietu Dairna, słysząc w głowie ciche prychnięcie. Zignorowałam je i podeszłam do Lary. – Hej! Jak dobrze was widzieć z jeleniami. – Uśmiechnęłam się do nich. Lara odwzajemniła mój uśmiech tylko po to, żeby zaraz zblednąć. – Coś nie tak? – spytałam. Obróciłam się, by zobaczyć, co wywołało u niej taką reakcję, ale za mną stał tylko Dairn.

– Ten jelen... On cię wybrał? – spytała cicho moja współlokatorka, jakby bała się, że zwierzę przyszło tu w złych zamiarach.

Westchnęłam lekko.

– Tak, sama się zdziwiłam. To tylko Dairn, nic ci nie zrobi – uspokoiłam ją.

Później przyjaciele przedstawili mi swoje jelenie i dowiedziałam się, że łania Lary to Kiara, jelen Liama ma na imię Basgiath, a łania Chrisa wabi się Sigha. Nagle przerwał nam głos dyrektora, który właśnie wyszedł na podest i przemówił:

– Widzę, że wszyscy zebrali się na błoniach ze swoimi nowymi partnerami. Nie widzę już żadnego wolno chodzącego jelenia. Gratuluję tym, którzy zostali wybrani i zapraszam was później do zapisania imion swoich jeleni tuż obok waszych na liście. Gotowe stanowiska są tuż obok podestu.

Gdy wykonaliśmy to polecenie, podeszła do nas jedna z nauczycielek.

– Hej, wasza czwórka, słuchajcie mnie teraz. Przydzielam właśnie nocne warty, pierwsza trafi się wam – poleciła pani profesor. Wszyscy



zgodnie skinęliśmy głowami. – Wspaniale, przyjdźcie ze swoimi jeleniami pod bramę, równo o dziewiątej. Wasza warta będzie trwała do piątej, wtedy ktoś przyjdzie was zmienić – wyjaśniła krótko, po czym odeszła do innych jeźdźców. Spojrzeliśmy po sobie, podekscytowani naszym pierwszym zadaniem.

Reszta dnia minęła nam w spokoju. Odbyły się pierwsze ogólne zajęcia z oswajaniem się z komunikacją przez umysł oraz zajęcia z panowania nad magią, którą jelenie powinny nam niedługo przekazać. Wieczorem, gdy siedzieliśmy w czwórkę przy naszym stoliku w rogu stołówki, rozmawialiśmy o naszej nocnej warcie. Wszyscy byliśmy podekscytowani naszym pierwszym, poważnym zadaniem z udziałem jeleni.

– Jestem pewny, że i tak zaśniesz koło drugiej – śmiał się z Liama Chris.

Blondyn tylko spojrzał na niego z politowaniem.

– Kto to mówi! Na pewno będziesz pierwszy – przekomarzali się.

Patrzyłam na to z nutką rozbawienia, próbując nie skupiać przesadnie uwagi na Chrisie, lecz mój mózg miał co do tego odmienne zdanie. Skarciłam się za to w myślach, wiedząc, że to tylko głupie zauroczenie.

W podobnym nastroju minęła nam reszta kolacji. Gdy skończyliśmy jeść, udaliśmy się do naszym pokoi, by przygotować się do warty. Okazało się, że chłopaki również byli współlokatorami i mieli pokój niedaleko nas, więc gdy rozdzielaliśmy się na korytarzu, nie żegnaliśmy się na długo.

Przed dziewiątą stawiliśmy się w czwórkę pod bramą. Nasze jelenie również tam czekały.

– Dobrze, że przyszlście na czas. Dzisiaj będzie raczej spokojnie, więc warta powinna wam minąć bez zakłóceń. Nie traćcie jednak czujności. O piątej przyjdzie kolejna grupka jeźdźców, by was zamienić – powiedziała z cieniem uśmiechu na ustach pani profesor.

Skinęliśmy głowami na znak zgody i zajęliśmy miejsca przy bramie. Niebo było już granatowe, a słońce chowało się za horyzont, ustępując miejsca jasnemu księżycowi. Usiadłam na granitowym kamieniu, oszczędzając siły. Wiedziałam, że czeka nas długa, nieprzespana noc. Pierwsze dwie godziny spędziliśmy na swobodnych rozmowach i żar-



tach, ale później zaczęło dopadać nas zmęczenie. Próbowaliśmy się rozbudzić szczypaniem w policzki i ćwiczeniami ruchowymi w miejscu. Wysiłek nas trochę zmęczył, ale przy tym skutecznie odpędził senność. Chris i Liam nawet próbowali nas nosić na barana, byleby tylko powieki przestały nam ciążyć. Krótko mówiąc, bawiliśmy się całkiem nieźle. Z kolei nasze jelenie obserwowały nas z lekkim pobłażaniem, one nie traciły czujności, nie przy swoim przywódcy.

Gdy w końcu ja, Lara, Liam i Chris uspokoiliśmy się, a nasze śmiechy ucichły, usiedliśmy pod murem i zaczęliśmy wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo. Nad naszymi głowami wisiały lampiony bijące ciepłym światłem. Kiara, Sigha i Basgiath w końcu się odprężyły i leżały teraz na trawie niedaleko nas, próbując się zdrzemnąć. Darin wciąż czuwał, może dlatego od razu wyczulałam jego nagłe zaniepokojenie.

Nie wiedziałam do końca, czy to ja, czy on, ale do uszu któregoś z nas dotarł nienaturalny szelest. Dochodził z krzaków pod lasem. Na początku zdawało się, że to tylko jesienny wietrzyk, ale za chwilę dźwięk stał się głośniejszy. W świetle księżyca w pełni na trawie uwidoczniły się wydłużone cienie.

– Hej, wy też to widzieliście? – spytałam zaniepokojona, podrywając się. Dairn zaczął się uważnie rozglądać.

Na dźwięk mojego głosu Liam otworzył zaspane oczy, Chris przetarł twarz ręką, a Lara zmrużyła oczy, by dostrzec cienie, które i ja widziałam.

– Coś się tam rusza... – stwierdziła po chwili dziewczyna. Chłopaki przytaknęli, wpatrując się w to samo miejsce.

Po chwili liście znów zaszeleściły i znad jednego z krzewów wyrzały dwie głowy w ciemnych kapturach o charakterystycznym kształcie. Gdy to zobaczyłam, na chwilę wstrzymałam oddech. To na pewno byli wojownicy z Królestwa Gryfów! Zgodnie z moimi przypuszczeniami, tuż za dwoma postaciami majaczyły kształty opierzonych łbów gryfów. Reszta ekipy również musiała to zauważyć, bo zerwali się w gotowości.

Niestety, tamci też musieli nas widzieć, bo cztery głowy prędko schowały się za krzewy.



– Trzeba ich zatrzymać – stwierdził Chris.

Wszyscy przytaknęliśmy i wskoczyliśmy na grzbiety naszych jeleni. Szybkim, ale cichym truchtem podbiegliśmy do krzewów. Dwójka szpiegów właśnie dosiadała swoich gryfów. Zwierzęta te były dużo mniejsze od naszych, rozmiaru kucyka, lecz tonie oznaczało wcale, że były mniej groźne lub powolniejsze. Owszem, jelenie były dużo zwinniejsze i potrafiły bronić się lepiej, używając przy tym poroża. Gryfy miały natomiast skrzydła i potrafiły latać. A to oznaczało, że jeśli uda im się poderwać z ziemi, nie będziemy w stanie ich dogonić.

Na szczęście drzewa sprawiały, że gryfy nie miały jak wystartować, skrzydła wpłatałyby się w gałęzie. Blokowaliśmy im drogę na polanę. Dwójka jeźdźców gryfów spojrzała na nas złowrogo, wiedząc, że jeśli szybko nie uciekną, będą zmuszeni do walki z nami.

– Co tu robicie? – zapytał Liam swoim niskim, głębokim głosem. Jeden z wojowników jeszcze bardziej naciągnął ciemny kaptur, ale nic nie odpowiedział. Wtedy Chris się zdenerwował.

– Czego szukacie za naszą granicą? Chcecie kłopotów? – zapytał z pogardą.

Drugi z jeźdźców rzucił nerwowe spojrzenie w bok, jakby próbował wymyślić, jakby tu czmychnąć.

– Wynocha stąd – warknęłam do nich. Kątem oka widziałam, jak jelenie moich przyjaciół świdrują wzrokiem gryfy. Trudno było nie zauważyć, że zwierzęta szczerze się nienawidziły.

Wojownicy pozwolili swoim gryfom podbiec łukiem w stronę błoni, obserwując, czy na pewno zamierzamy ich puścić. Gdy tylko znaleźli się na otwartym terenie, poderwali gryfy do lotu.

Obserwowaliśmy ich uważnie, a mnie przepełniał palący gniew, od którego nie mogłam się uwolnić. Nagle poczułam w sobie olbrzymią siłę. Gryfami zabujało w powietrzu, a następnie podrzuciło je do góry w ten sposób, że jeźdźcy nieomal spadli z ich grzbietów. Patrzyłam na to przerażona, domyślając się, że to magia, którą przekazał mi przed chwilą Dairn. Czyżbym panowała nad wiatrem?



– *I co sądzisz?* – usłyszałam w głowie chrapliwy głos mojego jelenia.

– *To twoja sprawka?* – spytałam z niedowierzaniem.

– *Tak i nie. Sama to zrobiłaś, ja tylko przekazałam ci część magii.*

Uśmiechnęłam się sama do siebie.

– Mirabelle, to ty? – zdziwiła się Lara.

Pokiwałam głową.

– Tak, Dairn przed chwilą przekazał mi magię – ucieszyłam się.

Chris uśmiechnął się do mnie.

– No nieźle, wiatr to wielka umiejętność – stwierdził, na co ja lekko się zarumieniłam. Całe szczęście, że było ciemno, inaczej chyba umarłabym ze wstydu. Nagle Liam odchrząknął.

– Wiem, że magia jest super i to spore emocje, ale powinniśmy powiedzieć o tych zwiadowcach dyrektorowi. Królestwo Gryfów pewnie wysłało ich na przeszpiegi. Jeśli planują atak, trzeba powiedzieć o tym reszcie – stwierdził, na co wszyscy pokiwaliliśmy głowami. – Zostanę na czatach, wy biegnijcie to zgłosić.

Chwilę później staliśmy przed drzwiami do pokoju dyrektora. Dochodziła trzecia w nocy, ale właściciel przyjął nas w swoim gabinecie, a wtedy o wszystkim mu opowiedzieliśmy.

– Dobrze postąpiliście, przepędzając ich. Walka dla tak młodych kadetów byłaby nieroztropna. Zanim tamci dotrą do swojego królestwa, minie trochę czasu, a my musimy się przygotować. Tak zuchwałe przekroczenie granic, może oznaczać, że tamci planują nalot na Akademię. Zaraz ogłoszę alarm dla wszystkich uczniów.

Serce waliło mi jak szalone, gdy patrzyłam, jak mężczyzna uruchamia gong na alarm przed atakiem. Zaraz w drzwiach pojawiła się zaspana pani wicedyrektor, po niej i inni nauczyciele.

Nie byliśmy tu już potrzebni, udaliśmy się na dziedziniec, gdzie zbierali się inni uczniowie. Całe drżałam, obmyślając w głowie najgorsze scenariusze walki. Ścisnęłam Larę mocno za rękę, próbując nie wybuchnąć płaczem, na widok tego wszystkiego, co działo się w Akademii.

Jeszcze niewielu jeźdźców miało moce, większość albo ich jeszcze nie otrzymała, albo miała je otrzymać podczas walki. Jeźdźcy



gryfów mogli pomyśleć, że wybrali idealny moment na atak, bo przecież byliśmy jeszcze niedoświadczeni i słabi. Lecz mylili się. Nasz rocznik walczył dzielnie i wytrwale, tylko nieliczni odnieśli poważniejsze rany. Ja sama zostałam ranna w piszczel, ale dotrwałam do końca potyczki.

W końcu udało nam się przepędzić wroga, który był zbyt słaby i nieliczny, by kontynuować walkę, którą sami zaczęli. Gdy jeźdźcy gryfów ogłosili sygnał do odwrotu, uśmiech mimowolnie wpłynął na moje usta. Szybko odnalazłam przyjaciół, upewniając się, że nie dolega im nic poważnego. Uściskałam wszystkich, ciesząc się z wygranej. Choć nie spałam całą noc, nie odczuwałam zmęczenia. Czułam tylko ekscytację i radość, bo wiedziałam, że gdyby nie nasza czwórka, wróg najprawdopodobniej zaskoczyłby nas w nocy, a może nawet przejąłby Akademię.

Słońce powoli wstawało znad horyzontu, a nasze świętowanie zaczęło się niedługo potem, gdy zdołano już opatrzyć poszkodowanych w walce. Wszyscy rozmawiali, głośno się śmiali i cieszyli z sukcesu. Ja na chwilę odłączyłam się od reszty i stanęłam na uboczu, tuż pod murem, gdzie nikt mnie nie widział. Śmiechy również wydawały się tu stłumione. Oparłam się plecami o ścianę, rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami. Wydarzyło się tak dużo, że zupełnie zatopiłam się w swoich myślach. Nie zauważyłam nawet Chrisa, który patrzył na mnie z odległości kilku metrów, opierając się o jedno z drzew. Gdy w końcu go dojrzałam, uśmiechnął się i podszedł bliżej.

– Co tu robisz? – spytał.

– Myślę nad tym, co się wydarzyło – odparłam krótko.

Kąciaki ust chłopaka powędrowały w górę.

– Nad czym tu myśleć? Już wszystko jest tak, jak miało być. Królestwo Jeleniej Góry jest już bezpieczne i to dzięki tobie – powiedział. Uniosłam pytająco jedną brew. – Gdybyś nie zauważyła wroga, Akademia byłaby już pewnie w rękach Królestwa Gryfów. – Wzruszył przy tym ramionami, jakby to było oczywiste – Lara już usypiała, ja też straciłam czujność, a Liam nic by nie zauważył.

– Prędzej czy później na pewno byście ich spostrzegli.



Chłopak stał teraz naprzeciwko mnie. Nagle mocno przytulił mnie do siebie. Wtuliłam się w jego ramiona, ciesząc się, że trafiłam tu na tak wspaniałych przyjaciół. Czułam, że to będzie dobry rok.

Nie myliłam się. Wszystko ułożyło się idealnie, ukończyłam rok szkolenia, a Królestwo Gryfów, znane również jako Gryfów Śląski, już nie atakuje Królestwa Jeleniej Góry, zawarliśmy pokój. Cieszyłam się, że jestem mieszkanką naszego wielkiego, dumnego miasta, znanego też jako Jelenia Góra.

Poznaj autora...

Nazywam się Hania, mam trzynaście lat i chodzę do SP11. Chodzę też do szkoły muzycznej, lubię czytać i rysować. W wolnych chwilach tworzę własne powieści.



„Transfinezja” to opowiadanie wyróżnione za oryginalność – od tytułu, poprzez pomysł i treść. Wkraczamy tutaj w niemal kryminalną intrygę science fiction. Jest dobry pomysł, jest dobre przesłanie, zabrakło głębszego rozwinięcia akcji i bardziej realistycznego obudowania wydarzeń. Choć „Transfinezja” nie była tak dobrze skomponowana jak zwycięskie utwory, pozycja ta zaciękawiała każdą z nas trzech, więc uznałyśmy, że warto ją nagrodzić.

Władze i służby miasta robią w opowiadaniu za czarny charakter. Choć trudno sobie wyobrazić ich tak radykalne, wzięte rodem z filmów szpiegowskich działania, to przecież walka bohaterów z systemem jest częstym tematem w thrillerach i książkach akcji. Jak dla mnie to po prostu kreatywne wykorzystanie dostępnych elementów otaczającej rzeczywistości i nawet jeśli naciągane, to ile w Oli i Magdzie ducha walki! Dwie nastoletnie bojowniczkі o sprawiedliwość. Zakończenie jest inspirujące i pokazuje, że wspólnymi siłami młodzi mogą wywrzeć realny wpływ na sytuację społeczną.

Warto walczyć w obronie słabszych, także tych, którzy sami głosu nie mają (chyba, że przemówią do twoich myśli).



TRANSFINEZJA

Joanna Rapkiewicz

Transfinezja miała rozpocząć nowy etap komunikacji między-ludzkiej. Wymiana informacji nie była już ograniczona dostępem do internetu, czy poziomem baterii w telefonie. Nie trzeba przy niej nosić zbędnych urządzeń, a wiadomość można odebrać, nawet nurkując w basenie. Gdy po raz pierwszy jeleniogórzanie usłyszeli o sposobie porozumiewania się przez myśli, wydawało im się to niemożliwe. Nikt wtedy by nawet nie pomyślał, że transfinezja stanie się niezbędną częścią ludzkiego życia.

Co zatem mogło pójść nie tak?

Rozległ się dźwięk dzwonka tak długo wyczekiwanego przez Olę. Była to ostatnia lekcja: historia. Dziewczyna wyszła ze szkoły, po czym szczęśliwa udała się do domu. Rozpakowała plecak i położyła się na łóżku. Potrzebowała chwili relaksu, lecz ciszę przerwało pukanie do drzwi. Za drzwiami stał jej ojciec.

– Hej, może byś tak gdzieś wyszła ze znajomymi. Wiesz, masz już 16 lat, więc to trochę niepokojące, że sama spędzasz piątkowe popołudnie.

– Jasne, jestem umówiona z przyjaciółką – skłamała Ola.

– To dobrze. Wiesz, my z mamą się po prostu martwimy – stwierdził tata z troską w głosie.

– Bez obaw, jestem tylko introwertyczną nastolatką, ale radzę sobie świetnie – odpowiedziała dziewczyna i posłała ojcu słodkiego całusa.

Ola spakowała torbę i wyszła. Poszła oczywiście do lasu. Było to bowiem jedyne miejsce, gdzie Aleksandra czuła się całkowicie dobrze



i bezpiecznie. Tylko ona i natura. Piękna, jasna zieleń trawy kontrastowała tu z przenikliwą czernią drzew, a między nie wrastała łąka z białymi kwiatami. Na trawie leżały połamane konary drzew. W tle pastelowe, bezchmurne niebo, a w powietrzu unosiła się woń wilgotnej ściółki. Prawdziwie magiczna atmosfera, było wręcz idealnie.

Dochodziła godzina 17:00, czyli mijały właśnie 3 godziny, odkąd Ola wyszła z domu. Zza krzaków wyłoniła się sarenka – radosna i pełna energii. Za nią podążał dostojny jeleń. Aleksandra przykucnęła i wystawiła dłoń. Sarenka powąchała wyciągniętą rękę dziewczyny, a następnie odezwała się:

– *Zagrożenie, ludzie to zagrożenie.*

Po tych słowach zwierzęta oddaliły się. Aleksandra zaniemówiła na kwadrans. Po pierwsze: rozumiała mowę zwierząt, po drugie: dlaczego według sarenki ludzie byli zagrożeniem?

Powrót do domu zajął Oli prawie pół godziny. Była zmęczona, ale położywszy się do łóżka, długo nie mogła zasnąć. Cały czas zastanawiała się nad słowami sarny. Dlaczego ludzie byli zagrożeniem? To pytanie nie przestawało ją dręczyć.

Obudziła się o 10:00, wciąż z tym samym pytaniem. Postanowiła sprawdzić, czy uda jej się odnaleźć coś na ten temat w internecie. Szukała i szukała, ale efekt stale był taki sam. Nic. Aż wpadła na pomysł: „Skoro rozumiem zwierzęta, to może wrócę do lasu i tam się czegoś dowiem”. I poszła.

Gdy była już w lesie, usłyszała w głowie komunikat: „Wiadomość od taty. Czy chcesz ją odczytać?”. Potwierdziła. Nagle wszystkie ptaki w pobliżu wzbily się w powietrze, jeże, wiewiórki, a nawet borsuk wybiegły z nor i zaczęły od niej uciekać.

Dlaczego? Co powoduje ten strach wśród zwierząt?

Ola chciała odpowiedzi, ale nie wiedziała, gdzie jej szukać. Pozostała w lesie w nadziei, że spotka zwierzę, które będzie gotowe z nią rozmawiać. Szczególnie pragnęła ponownie spotkać tę samą sarnę, która wczoraj tak szybko od niej uciekła. Czuła, że niebawem stanie się coś złego i była gotowa zrobić wszystko, by temu zapobiec. Po długich godzinach poszukiwań zdecydowała się wrócić do domu. Jednak po



drodze spotkała inną dziewczynę, mniej więcej w swoim wieku. Tamta miała blond włosy i piękne, niebieskie oczy. Ubrana zaś była w marynarkę w kolorze khaki i czarne bojówki.

– Czego tu szukasz? – zapytała nieznajoma szorstkim tonem.

– Saren – odpowiedziała grzecznie Ola.

– Tu ich nie znajdziesz. Zniknęły miesiąc temu.

– Jak to? Przecież widziałam jedną wczoraj – zdziwiła się Ola.

– Niemożliwe, wszystkie sarny wraz z jeleniami wyniosły się miesiąc temu. Inne zwierzęta o tym mówią.

– A skąd to wiesz? Czekaj... ty rozumiesz mowę zwierząt! Myślałam, że tylko ja tak mam. Jak się nazywasz? Ja jestem Ola.

– Magda. Wszystko ci wytłumaczę.

Zaprowadziła Olę do małej chatki głęboko w lesie. Konstrukcja cała porośnięta była bluszczem. Magda usiadła po jednej stronie stołu, Ola po drugiej. Drewniany stół i dwa pnie drzewa były jedynymi meblami w tym tajemniczym miejscu.

– Próbuję ustalić, co dzieje się ze zwierzętami i myślę, że możesz mi w tym pomóc – odezwała się Magda.

– No dobra, ale od ciebie też oczekuję informacji.

– Na razie wiem tylko tyle, że zwierzęta przestały nam ufać. Boją się nas. Wszystkie moje krowy i całe stado owiec uciekły. Pytałam też koleżanek ze wsi i u nich dzieje się to samo. A ty co wiesz?

– Wczoraj spotkałam sarnę, która powiedziała mi, że ludzie są zagrożeniem. Była tak wystraszona, jakby zobaczyła jakiegoś ducha. W dodatku, gdy przyszłam do lasu, zwierzęta uciekały w popłochu...

I tak toczyły rozmowę przez najbliższe 10 minut, aż obie doszły do wniosku, że ten dar dostały, by pomóc zwierzynie.

Zaczęło się ściemniać, więc obie stwierdziły, że czas wracać do domów, ale zanim się pożegnały, umówiły się na następne spotkanie.

Dwa dni później, na kolejnym spotkaniu Magda przedstawiła nowe przemyślenia:

– Dzisiaj, gdy dostałam wiadomość od koleżanki, kot którego codziennie karmię i który zawsze traktował mnie jak opiekuna, zaczął syczeć, po czym zwał. Natomiast wczoraj wieczorem, koń którego



poilał, zaczął szaleć i kopnął mnie, gdy tylko zaczęłam dzielić się swoimi myślami z mamą. A ty nie używałaś przypadkiem transfinezji przy spotkaniach ze zwierzyną?

– Faktycznie. Może to być powiązane. Tylko w jaki sposób im to szkodzi?

Obie zabrały się za szukanie informacji na temat transfinezji. Po mozolnym, kilkugodzinnym przeszukiwaniu stron internetowych w końcu natknęły się na pewien artykuł: „Borys Zając w śpiączce. Był w trakcie projektu nt. Transfinezji. Czy to przypadek, czy odkrył prze-rażającą prawdę?”. Jednak po kliknięciu w link, pojawiła się informacja o tym, że strona nie istnieje. Znalazły jeszcze jeden artykuł pod tytułem: „Zaskakujące odkrycia doktora weterynarii Borysa Zająca”, ale ten wpis również został już usunięty. Udało im się natomiast znaleźć adres dawnego biura doktora Borysa.

Ola zauważyła, że ta sprawa podąża w niewłaściwym kierunku. Nie mogły się przecież tam włamać. Nie chciała się narażać policji, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, usłyszała od koleżanki: „Idziemy!”. Aleksandra próbowała stawiać opór, ale Magda wyjaśniła jej, że może to być ostatnia szansa na odkrycie prawdy, teraz póki sprawa jest świeża. „Może policja nie zdążyła jeszcze zebrać wszystkich dokumentów” – argumentowała.

Dziewczyny udały się do biura, które położone było w środku lasu. Było to niewielkie pomieszczenie, dawna leśniczówka, które nie wyróżniało się niczym szczególnym. Weszły do środka z pomocą zestawu wytrychów, które nie wiadomo skąd wydobyła Magda. Sala wyglądała na przeszukaną. Wszędzie porozrzucane były dokumenty. Trochę rozczarowało to dziewczyny, mimo tego nie poddały się – przeszukały salę wzdłuż i wszerz. Nie znalazły nic godnego uwagi, oprócz małego, srebrnego kluczyka wciśniętego w szparę od podłogi. Tylko jaki pożytek z klucza, skoro nie wiedziały, co on otwiera?

Zrezygnowane postanowiły wracać do domu Oli. Tuż przed opuszczeniem sali, Magda odwróciła się po raz ostatni i kątem oka spostrzegła umocowane dyskretnie pod sufitem, srebrne pudełko. Był to rodzaj niewielkiego sejfu z prostym zamkiem, a jak się niebawem okazało, kluczyk pasował idealnie. W środku były dokumenty na temat odkryć



Borysa Zająca. Zanim jednak Magda i Aleksandra zdążyły przejrzeć papiery, usłyszały nadjeżdżające auto. Ola wyszeptała przejęta:

– Służby.

Magda wskazała jedyną drogę ucieczki. Wzięły w rękę arkusz i wyskoczyły przez okno. Usłyszały jeszcze tylko głośnie „Stójcie!”, ale one biegly już, ile sił w nogach. Na szczęście nikt ich nie gonił, ale i tak dla pewności pokluczyły po leśnych zaroślach, nim wróciły do domów.

Następnego dnia Ola obudziła się wypoczęta. Zeszła na dół zrobić sobie naleśniki, lecz zaraz potem wbiegła z powrotem na górę do pokoju. Przypomniała sobie o latarce. Nie była pewna, czy nie zostawiła jej w gabinecie Borysa. Nigdzie jej nie było, a najgorsze, że kilka lat temu mama podpisała ją jej imieniem i nazwiskiem na wypadek zgubienia. Ola wiedziała, że policja mogła ją odnaleźć i dowiedzieć się o tym, że wmieszała się w sprawę. Bała się jak nigdy wcześniej, ale musiała sprawdzić, czy latarka dalej tam jest.

Po raz kolejny udała się do gabinetu Zająca. Gdy nie znalazła tego, czego szukała, przeraziła się jeszcze bardziej. Szybko pobiegła w stronę domu, ale było już za późno. Policja stała już pod blokiem. Teraz już nie miała wyjścia, uciekła do lasu.

Aleksandra nie wiedziała, co ma robić. Pobiega więc do Magdy.

– No co się stało? Odkryłaś coś?

– Mam problem. Policja o mnie wie, przyjechali dzisiaj pod mój blok. Musimy szybko rozwikłać tę zagadkę.

– Więc do dzieła! Uwielbiam takie przygody. Zaczekaj tu na mnie, zaraz wrócę – powiedziała podekscytowana Magda.

Najwidoczniej obie miały zupełnie inne odczucia i nastroje. Ola ledwie kontaktowała, gdyż stres zjadał ją od środka, natomiast Magda była pełna entuzjazmu.

Usiadły do pracy. Podczas sprawdzania zebranych materiałów, natknęły się nie tylko na badania i opisy przeprowadzonych doświadczeń, ale również na wyniki i wnioski. To interesowało je najbardziej. Kiedy przeczytały fragment: „Transfinezja, w wyniku wysysania życiowej energii, powoduje przyspieszoną starość u zwierząt”, czas jakby stanął w miejscu. Spojrzały na siebie przerażone.



– Brzmi bardzo poważnie – powiedziała Ola.

W czasie gdy one obie analizowały zebrane papiery, zwierzęta odbywały własną naradę. Uczestniczyli w niej przedstawiciele prawie wszystkich gatunków zwierząt zamieszkujących las oraz niektóre krowy i konie, którym udało się uciec z gospodarstw. Brakowało tylko jeleni i saren, ale uczestnicy nie byli zdziwieni. W końcu na ostatnim spotkaniu jelenie wyraziły się jasno – nie mają zamiaru dłużej wtrącać się w sprawy miasta. Niedługo po tym zniknęły z jeleniogórskich lasów.

Spotkanie to rozpoczęły dziki. Nie były już w stanie tolerować krzywd, które fundowała im transfinezja. Chciały wreszcie zmiany, twierdziły, że skoro żaden człowiek z darem porozumiewania się ze zwierzętami im nie pomógł, to sprawy tej nie dadzą rady rozwiązać po dobroci. Przeciwnie były temu wiewiórki, jeże, ptaki i inne mniejsze zwierzątka. Jednak po długich godzinach obrad obie strony przyznały rację dzikom i zdecydowały, że walka to jedyny sposób, by odegnąć cierpienie. Musiały wziąć sprawę w swoje łapy.

Kiedy dziewczęta przestudiowały już wszelkie analizy badań Borysa, poskładały wszystko w całość.

Transfinezja jest niebezpieczna dla zwierząt. Za każdym razem, gdy człowiek posługuje się tym sposobem komunikacji, jedno zwierzę zostaje pozbawione części energii, co powoduje u niego krótsze życie, a przy tym sprawia ogromny ból.

Okazało się też, że data powstania transfinezji zbiega się z czasem, w którym dziewczyny zaczęły rozumieć mowę zwierząt, a to oznaczało, że tak jak wcześniej podejrzewały, jest to powiązane. Mimo że najważniejszego już się dowiedziały, dalej nie było to dla nich wystarczające i przypuszczały już, gdzie można szukać reszty informacji. Musiały znaleźć zaginionego doktora weterynarii.

W Polsce było tylko jedno miejsce, w którym można było zahibernować człowieka. Było to laboratorium Juliusza Ernego w Jeleniej Górze, położone pod głównym budynkiem poczty, w podziemiach. Tam właśnie się udały.

– To chyba tu – oznajmiła niezadowolona Magda. Miała ku temu powody, bo pokój był pusty i to zupełnie. Ośrodek przeniesiono.



Magda zbierała się już do wyjścia, ale Ola się nie poddała.

– Nie, nie, nie. Nigdzie się stąd nie ruszamy, dopóki nie zbadamy dokładnie wnętrza. Może znajdziemy chociaż jakąś kartkę z informacjami o przeniesieniu gabinetu.

– Nic tu nie znajdziesz, sala jest całkowicie pusta. Nie widzisz!?

Ola nie posłuchała koleżanki, tylko wyciągnęła z plecaka dziecięcą latarkę.

– Poważnie? Potrzebna ci latarka? Przecież jest jasno. Lampa daje wystarczająco dużo światła.

Jednak Ola dobrze wiedziała, co robi. Magda zresztą też się dowiedziała, gdy latarka została włączona. Świeciła ona światłem ultrafioletowym. Ola opowiedziała koleżance o swoim dziecięcym hobby, którym było kolekcjonowanie kamieni, a przecież do ujrzenia piękna niektórych minerałów potrzebne jest takie właśnie światło.

Ola świeciła latarką po każdej ścianie, jednak i tym razem czego nie znalazła. Dziewczyny były zawiedzione. Naprawdę liczyły, że coś odkryją. Nagle usłyszały nieprzyjemny dla uszu dźwięk zza ściany. Przypominał on drapanie pazurami po tablicy szkolnej. Ktoś był tam uwięziony!

Zaczęły wołać do stworzenia po drugiej stronie, ale nikt nie odpowiadał. Magda wpadła na pewien pomysł: „Spróbujmy zrobić otwór w ścianie”. Wyszły na chwilę na ulicę, szukając czegoś, co by się do tego nadawało. Znalazły gałęzie i kamienie, a że zależało im na czasie, wróciły do gabinetu i zabrały się za zdemolowanie ściany. Staraly się to zrobić jak najszybciej i po upływie niespełna 10 minut udało im się zrobić na tyle duży otwór, by odsłonić siedzącego po drugiej stronie... zająca.

Dziewczyny bardzo się zdziwiły. Nie spodziewały się ujrzeć za ścianą zwierzątka. Był to jasnoszary, dość duży zając, który podszedł do nich, poruszając noskiem. Magda od razu skorzystała z daru otrzymanego od zwierząt i zapytała go, co tu robi. Wtedy zwierzak opowiedział im całą historię.

Okazało się, że zwierzę, na które patrzą, to tak naprawdę doktor weterynarii Borys Zając. Od zawsze był zającem, ale pewien jeleni



zamienił go na jakiś czas w człowieka, ponieważ zwierzęta chciały, by ludzie dowiedzieli się o skutkach transfinezji. Wszystko szło zgodnie z planem, Borys zebrał wszystkie dowody i poszedł prosto do dziennikarzy z lokalnych gazet. Napisano o tym nawet artykuł, który jednak nie ujrzał światła dziennego, gdyż został usunięty przez władze Jeleniej Góry. Te z kolei zawiadomiły służby, które to właśnie zamknęły go w tym pomieszczeniu. Siedział tu zahibernowany przez 2 miesiące, a gdy dowiedziano się, że ktoś myszkuje przy tej sprawie, usunięto laboratorium, a doktora uwięziono w tajnym pomieszczeniu za ścianą.

Jako że czar przestał działać 3 dni temu, Borys znów stał się zającem i nie mógł już nic zdziałać. Bo kto zrozumie zająca? Ludzi z tym darem było niewiele i szybko uciszyłyby ich władze.

Według zająca nie było już wyjścia, Ola wraz z Magdą postanowiły jednak działać potajemnie. Cofnęły się do starych metod komunikacji i zaczęły wywieszać plakaty z wydrukami badań Borysa. Zrobiły wiele kopii i rozwiesiły je w całej Jeleniej Górze. Policja na bieżąco usuwała plakaty, ale zawsze kilku osobom udało się je zobaczyć, a takie newsy szybko się sprzedawały.

Nastolatki były zadowolone ze swoich działań. Myślały, że z czasem ludzie przestaną używać transfinezji. Nie zdawały sobie niestety sprawy z tego, że zwierzęta podjęły już ostateczną decyzję i wkrótce napadną na miasto.

Nadszedł dzień odwetu. Była to nadzieja dla zwierząt na lepsze życie i koniec cierpień. Ludzie też mieli, o co walczyć: o miasto i dach nad głową, bo zwierzęta chciały wypędzić ich na zawsze z Jeleniej Góry.

Z lasów wyłoniły się całe stada dzików, lisów, wilków i innych gatunków. Armia zwierzęca była ogromna, ale nieporównywalna z możliwościami ludzi, bo ci mieli przecież broń palną. Zwierzęta były na przegranej pozycji, ale dalej pozostawała nadzieja, gdyż część mieszkańców znała już powód, dla którego zdecydowały się one z nimi walczyć. To mogło sprawić, że nie wszyscy jeleniogórzanie będą chcieli stawać do walki.

Dziki zaatakowały pierwsze. Zwierzęta wygrywały, dopóki mieszkańcy nie wezwali do pomocy policji. Wtedy przewagę w centrum



miasta zdobyli ludzie, ale na obrzeżach to czworonożne zdawały się wygrywać. Taki stan utrzymywał się przez kilka dni.

W Jeleniej Górze brakło już funkcjonariuszy, a zwierzęta ginęły licznie przez nasilenie transfinezji. Intensywne korzystanie z tej formy komunikacji było spowodowane właśnie wybuchem wojny między zwierzętami a ludźmi. W końcu każdy mieszkaniiec chciał wiedzieć, co dzieje się na innych obszarach miasta, więc komunikaty transfinezji krążyły pomiędzy ludźmi niczym posty na portalach społecznościowych.

Dziewczyny coraz rzadziej widywały w lesie zwierzęta. Same nie angażowały się w walki, ale nie zamierzały pozostawać bierne. Poszły prosto do urzędu miasta, by przedstawić swoje wnioski. Tam jednak zostały wyśmiane. Urzędnicy byli pewni wygranej miasta i nie chcieli, by reputacja Jeleniej Góry spadła. To przecież tu wynaleziono transfinezję, a gdyby państwo i świat dowiedziały się o skutkach ubocznych, miasto wypadłoby okropnie w mediach. Oprócz śmiechu ze strony urzędników, nastolatki otrzymały też „bilet” do więzienia. Chciano je odseparować, gdyż były zagrożeniem dla reputacji miasta.

Minął tydzień krwawej bitwy. Urzędnicy się mylili, bo to zwierzęta zaczęły zyskiwać przewagę. Mimo to władze nie chciały przyznać się do winy. Dalej kontynuowano starcie, lecz bez pozytywnych efektów. Rozpoczęto ewakuację. Coraz więcej jeleniogórczan decydowało się na ucieczkę. Wtedy dopiero zrozumiano, że trzeba to skończyć.

Przedstawiciele miasta spotkali się z delegatami z armii zwierzęcej, by wspólnie się dogadać. Jednak zwierzęta wyczuły złe intencje urzędników, więc nie zgodziły się na zakończenie wojny. Po tej decyzji urzędnicy opuścili miasto. A w całym tym zamieszaniu zapomniano o uwięzionych wciąż Oli i Magdzie.

Dochodziła godzina 20:00. Dziewczyny były już wygłodzone i zmęczone bezskutecznymi próbami ucieczki. Wtedy właśnie przy kratkach pojawiła się niska, ubrana w luźny dres blondynka. Na głowie miała niedbały kok, a na jej szyi wisiał kluczyk. Otworzyła im drzwi, po czym zaprowadziła je do wyjścia.

Gdy wyszły na zewnątrz, zobaczyły niemal opustoszałe miasto. Ludzi było niewiele, zwierząt również nie było widać. Nieznajoma



wyjaśniła im, że wojna się skończyła. Zaszokowane nastolatki spytały o szczegóły.

– Prawie przegraliśmy, ale z pomocą przyszły nam jelenie. Pokazały się pierwszy raz od miesiący i przegoniły resztę zwierząt. Postawiły nam jednak warunek: nie możemy używać więcej transfinezji.

– Jelenie wróciły do Jeleniej Góry? Dlaczego? – zapytała Magda.

– Nie wiem. Jeśli chcecie, same je pytajcie – odpowiedziała obojętnie blondwłosa kobieta, śmiejąc się przy tym i wskazując na stojące w oddali stado jeleni.

To właśnie zamierzały zrobić. Magda ruszyła wraz z Olą we wskazaną stronę. Jelenie wyjawiały im, że tak na prawdę cały czas były na terenie miasta, tylko dobrze się ukrywały. Robiły tak ze względu na strach i bezradność wobec ludzi. Nie chciały nikogo skrzywdzić, ale nie miały więcej sił, by żyć wśród strachu i bólu. Myślały dopiero nad migracją, gdy usłyszały o tym, co dzieje się w ich mieście. Musiały działać. W końcu czuły się patronami tego miasta, a bez ludzi Jelenia Góra nie byłaby już taka sama.

Jelenie zastrzegły jednak, że jeśli ludzie, pomimo wiedzy o negatywnych właściwościach transfinezji, dalej będą jej używać, to one na zawsze opuszczą miasto. Dziewczynki podziękowały im i obiecały, że przekażą to, co usłyszały wszystkim mieszkańcom Jeleniej Góry.

Rozpoczął się właśnie trzeci tydzień po zakończeniu wojny. W całym mieście działało 5 organizacji ochrony zwierząt. Na ich czele stały Ola z Magdą. To dzięki nim wszyscy ludzie zrozumieli, jak transfinezja wpływa na zwierzęta. Oczywiście byli i ludzie, którzy nie chcieli zaprzestać używania tego sposobu komunikacji, więc zmuszono ich do tego wysokimi karami.

Od tej pory ludzie żyli w zgodzie ze zwierzętami.



Poznaj autora...

Mam trzynaście lat. Interesuję się lekkoatletyką, tańcem, wspinaczką i innymi sportami. W wolnych chwilach lubię czytać książki, słuchać muzyki oraz spotykać się z przyjaciółmi. Uwielbiam zwierzęta, sama opiekuję się żółwiem, psem i szczurkami.





„Krwawy Płacz Ducha Gór” – te słowa wiele obiecywały i były to bardzo mroczne obietnice. Pod tym tytułem krył się nieco upiorny, nieco bezwzględny, a nieco smutny tekst. To krótkie opowiadanie przyciąga niezwykłością, ale i aktem młodzieńczego heroizmu, który został opłacony wielką ofiarą.

Po lekturze w czytelniku zostaje jedno głośnie pytanie „Co dalej z Zosią?!”. Tego jednak autorka nie zechciała zdradzić.

Oto „Opowiadanie, które nas poruszyło”.



KRWAWY PŁACZ DUCHA GÓR

Liliana Sadza

Mam na imię Michał, chciałbym opowiedzieć o czymś, co miało miejsce, gdy byłem nastolatkiem. Mimo że historia ta wydarzyła się paręnaście lat temu, to wciąż mam dreszcze, gdy ją wspominam, a serce zaczyna mi wtedy bić szybciej.

W wieku dwunastu lat zostałem sierotą, moja mama zmarła na nowotwór, a tata dwa miesiące po tej stracie odebrał sobie życie. Nie dał rady znieść bólu po utracie tak bliskiej osoby. Zostałem więc sam. Na szczęście z pomocą przyszła moja ukochana ciocia, wiedziała, że nie może zostawić mnie w tej tragedii. Rodzice i ja byliśmy jej najbliższą rodziną.

Ciocia opiekowała się mną najlepiej jak mogła, oddawała mi całe swoje serce. Czasami myślałem, że dała mi nawet dwa, choć w praktyce było to niemożliwe.

Gdy miałem piętnaście lat, pewnego wieczoru, gdy ciocia już spała, poszedłem do kuchni, aby zrobić sobie coś do jedzenia. Co prawda za pięć minut miała wybić północ, ale ja umierałem z głodu, bo nie jadłem tego dnia kolacji.

Podczas przyrządzania kanapek, czułem się jakoś nienaturalnie słabo, jakby jakaś zaraza latała w powietrzu. Nie zaprzątałem sobie tym jednak głowy, tylko zjadłem kanapkę, po czym położyłem się do łóżka. Gdy udało mi się zasnąć, nagle usłyszałem głośne syreny alarmowe, którym wtórowały kościelne dzwony. Przestraszyłem się, więc szybkim krokiem poszedłem do pokoju cioci. Zobaczyłem, że telewizor jest włączony, a ciocia też już nie spała. Wyglądała, jakby w ogóle się nie



kładła, co było dziwne, bo bardzo rzadko widywałem ją na nogach po północy. Byłem zdezorientowany, telewizor grał głośno, choć zwykle ustawiany był na minimalną głośność.

Nagle usłyszałem z telewizora, że władze Jeleniej Góry, ogłaszają natychmiastową zbiórkę wszystkich obywateli pod ratuszem. Ten komunikat mnie wystraszył, czyżby zaczęła się wojna?

– Ciociu, o co chodzi? – zapytałem zdziwioną sytuacją.

– Michał, ubieraj się, zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Kiwnąłem głową, a zaraz po tym poszedłem się ubierać. Czułem, że sytuacja jest poważna. Wiedziałem, że nie ma czasu na zadawanie pytań.

Wyszliśmy z mieszkania. Moim oczom ukazało się czerwone niebo przypominające zorzę polarną. „Niemożliwe” – mruknąłem pod nosem, wiedziałem, że zorze występują na dalekiej północy, a nie w Polsce, nie w Jeleniej Górze! Do tego nie w kolorze czerwonym.

Będąc zapatrzonym w niezwykle niebo, nie zauważyłem, że udało nam się już dojść pod ratusz. Gdy odkleiłem wzrok od nieba, moim oczom ukazał się kolejny, nigdy nie spotykany dotąd widok. Wnętrze budynku i jego okolice porastał ciemny, gęsty las. Bywałem przy ratuszu tak często, że niemożliwe było, bym tego nie zauważył. Moje rozmyślanie przerwał głos prezydenta Jeleniej Góry, który z powagą powitał wszystkich zgromadzonych, a potem powiedział:

– Przejdźmy do sedna. Jak mogliście zauważyć, nasze miasto pochłonęło czerwone, niespotykane niebo. Zostaliśmy odcięci, a wewnątrz mają miejsce dziwne zjawiska. Jest to krwawy płacz Ducha Gór. Spotyka się go raz na tysiąc lat i zwiastuje on koniec naszego miasta. Można jednak pokonać Ducha Gór, idąc do jego serca, by stawić mu wyzwanie. Zatem chciałbym ogłosić nabór piętnastu wysportowanych, silnych i bystrych osób, które podołają temu niebezpieczeństwu.

Widziałem jak twarze ludzi zamarły na te słowa. Po chwili jednak znaleźli się śmiałkowie, którzy ruszyli w stronę schodów. Brakowało jednej osoby, by rozpocząć podróż po śmierć lub życie, a nie było więcej chętnych. Zobaczyłem jak przedstawiciele władz rozglądają się po ludziach, by wybrać kogoś godnego wykonania tego zadania. Bardzo



się bałem, że wybiorą moją ciocię, ponieważ przed śmiercią moich rodziców była ona znanym wśród mieszkańców żołnierzem. Zacząłem się modlić, by jej nie wybrano i moje modlitwy zostały wysłuchane.

– Ten chłopiec, obok pani w blond włosach i fioletowej kurtce. Ty! Chodź tutaj – usłyszałem i zaraz poczułem, jak wszystkie spojrzenia kierują się w moją stronę. Prezydent wskazywał mnie palcem, czekając aż podejść.

– Ja? – zapytałem niepewnie.

– Tak, ty. Wyglądasz na rozgarniętego i silnego.

Przytuliłem mocno ciocię, która szepnęła mi do ucha: „Bądź dzielny, wierzę w ciebie”.

Dołączyłem do reszty, odchodząc od tłumu stojącego przy mrocznym lesie, odwróciłem się ostatni raz i uśmiechnąłem się do cioci. Nawet jeżeli byłem zestresowany i zaniepokojony tym, co mnie czeka, nie chciałem, by to po mnie poznała. Zostałem wybrany, musiałem się tego podjąć, jak prawdziwy żołnierz.

Idąc pośród opustoszałych uliczek, dostrzegłem w grupie kogoś w moim wieku, a nawet z mojej szkoły. Nazywała się Zofia. Bardzo zdziwił mnie widok tej dziewczyny, bo wiedziałem, że jest nieśmiała i bardzo cicha. Nigdy dotąd z nią nie rozmawiałem, więc trochę wstydzilem się do niej podejść i zapytać, co właściwie tu robi. Po chwilo-wym namyśle, odważyłem się podejść.

– Co tutaj robisz? – zapytałem nieśmiało.

– Zależy mi na obronie miasta. Mój dziadek umarł podczas wojny. Robię to dla niego.

Kiwnąłem tylko głową z powagą na twarzy i odszedłem. Zanim się obejrzałem, dotarliśmy nad rzekę Bóbr, która wcale nie wyglądała jak wcześniej. Była czarna jak atrament, a w jej odbiciu można było dostrzec coś strasznego i nieprawdopodobnego.

Rzeka ukazywała ruiny Jeleniej Góry po wojnie z Prusami, a odbicie każdego z nas w wodzie było przerażające. Nasze twarze były rozmazane, a oczy prawie tak samo czarne jak rzeka.

Nagle, niewiadomo skąd, rozbrzmiał głos: „Jeżeli chcecie uratować Jelenią Górę, jedno z was musi się poświęcić”. Twarze ludzi zbladły,



łącznie z moją. Podczas gdy każdy rzucał spojrzenia na innych, Zofia wyszła naprzód i rzekła dobitnie: „Nie możemy poświęcić któregokolwiek z nas, każdy jest tak samo ważny!”

Wszyscy spojrzeli z niedowierzaniem na niepozorną Zofię. Naraz usłyszeliśmy drażniący hałas, podobny do wybuchu bomby. Obejrzeliśmy się za siebie, a naszym oczom ukazał się wchód słońca. Pozbyliśmy się klątwy Ducha Gór!

Jednak moją radość przerwał jeden, istotny fakt. Rozglądaliśmy się wokół siebie i na boki, ale brakowało nam czegoś, a raczej kogoś. Spojrzeliśmy w taflę rzeki, a wtedy naszym oczom ukazało się odbicie tylko jednej osoby – nieśmiałej, cichej dziewczyny.

Zofia została uwięziona po drugiej stronie rzeki, po stronie krwawego płaczu Ducha Gór. Ta młoda dziewczyna uratowała nas wszystkich za cenę własnego życia.

Poznaj autora...

Mam na imię Lila, mam czternaście lat i bardzo lubię foki oraz psy. Interesuję się fizyką i matematyką.



To już koniec naszej podróży. Pomyślałam, że warto zakończyć tym pełnym poświęcenia akcentem. Teraz czas na Was, by ponieść fragmenty tych opowieści w świat.

Może uśmiechniecie się na widok Podróżniczka, a może ujrzycie w Szczudlarzu figlarnego cudotwórcę, wypatrzycie na budynku ratusza zarys magicznego portalu, znajdziecie ukryte symbole na Wzgórzu Krzywoustego albo magiczny zegar na Jarmarku Staroci i Osobliwości. Cokolwiek to będzie, zachowajcie w sobie tę iskrę niezwykłości.

Każde miejsce ma swoją „magię”, nasza piękna Jelenia Góra również i ten ciekawy zbiór jest tego dowodem. Ci młodzi autorzy już to odkryli. Czas teraz na Ciebie!



Oto przed Wami zbiór dziesięciu wybranych (w tym nagrodzonych) opowiadań z pierwszej edycji organizowanego przez Książnicę Karkonoską konkursu „Fantastycznie o Jeleniej Górze”.

Antologia „Fantastycznie o Jeleniej Górze” to fantastyczny zbiór dla młodzieży i dorosłych, podróż w znane i nieznanne, w baśniowe oraz futurystyczne. Przygotujcie się na sporo magii, alternatywne rzeczywistości, gadające jelenie, baśniowe krainy, poszukiwania zaginionych artefaktów, transfinezyczne konflikty, wojny i akty pokojowe, spotkanie z lokalną wersją wiedźmina oraz wiele, wiele więcej.

M.K. Czerniecka

